Cena 7 zł.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II Warszawa 10 Lutego 1946 Nr. 6 (12)

Andrzej Łomień-Trzebiński

Wspomnienie o przyjacielu
(o ś. p. Wacławie Bojarskim)

Polegli obaj. Spotkali się i są ponownie razem. Rozstanie było krótkie. Toteż wspomnienie Trzebińskiego o Bojarskim jest wspomnieniem o nich obu. Pozostało po nich, jak pisze Stanisław Ziembiński, „to co najważniejsze, najdoskonalsze — to linia, ton. Jedność twórczości i walki. Styl epoki".

Istnieją podobno przyjaźnie rosnące dziesiątkami lat, rozgałęziające się, kwitnące i owocujące, przyjaźnie, w których cieniu siwieje się powoli i których cień coraz głębszy godzi nas wkońcu z myślą o cienistych głębiach śmierci. Wtedy śmierć przyjaciela gasi nam conajwyżej blask oczu do końca, ale niczego za to nie jątrzy i nie otwiera niepokoju. Jest tym ostatnim ogniwem łańcucha, zamykającego się w koło. Pamięć o przyjacielu krąży wtedy w zamkniętym okręgu przeszłości, w okręgu zamkniętym bezpiecznie w całość, pełnym harmonii. Och, być może — wspomnienia wtedy choćby najbardziej smutne, choćby gorzkie jak wrze śniowa jarzębina, i ciemne jak woda pod niebem bezgwiezdnym, wspomnienia mogą wtedy przynosić ukojenie i wielką nawet ciszę.

Ale przyjaźń nasza miała tylko trzy lata, niecałe nawet, i kiedy myślę o Tobie, nie mogę się wogóle zwracać w przeszłość. Zawsze widzieliśmy siebie i chcieliśmy się oglądać jedynie na tajemniczym tle historii, która dopiero czeka — utajona i wielka. Tam muszę patrzeć dzisiaj. Ale to sięganie wspomnieniem wspólnej przeszłości nie daje ukojenia. Niepokoi i boli. Twój cień, cień jaki rzuca na tło przyszłości żywy, młody człowiek oczekujący historii — znikł nagle.

Kim mogłeś być?

Nie wiem. Boję się z góry określać to wszystko na podstawie migającego płomiennie Twego Cienia. Nie wiem. Naprawdę! Ale wiem, że gotując się do szturmu na życie, powtarzając owo urzekające „bagnet na broń" wobec wojennej rzeczywistości, ufaliśmy, iż w chwili śmiertelnego skrzyżowania „białej broni" krzyk bojowy jednego z nas wspomoże, ożywi, wskrzesi nawet — drugiego.

Nie. Nie wspomoże, nie ożywi, nie wskrzesi. Czeka mnie walka w milczeniu. Nie ma do kogo wołać wojennego hasła. Wszystko ma się zawrzeć w prostym milczeniu szczęk zaciśniętych. Cała siła, wiara i ból... Powinienem — być może — złożyć Ci w takim momencie jakieś intymne przyrzeczenie, jakąś raz na całe życie obietnicę.

Nie rzucam ani jednego słowa przyrzeczenia, Drogi. Trudno nawet wyjaśnić, dlaczego. Oczywiście prościej byłoby dać pełne ujście podnieceniu i przyrzec. Wierność wspólnej linii naszego frontu. Uchronienie od zagłady tych trzech lat korzenistej, podziemnej, ugornej epoki naszych żyć.

Przyrzec wszystko, co przez czaszkę przeleci...

Ale nie czuję, abym miał prawo przyrzekać jeszcze cokolwiek. To zapadło milcząco już na samym wstępie naszej przyjaźni. Wcześniej jeszcze. Na samym wstępie znajomości, dwa i pół roku temu.

Kiedy był ciepły, słoneczny dzień właśnie. Kiedy szedłeś rozpięty, z rękoma po swojemu do tyłu, w bronzowym, twardym kapeluszu... Byliśmy „per pan" jeszcze. Zacząłeś.

— Czy nie uważa pan, że liryka jako rodzaj literacki... jest dziwnie niepełna?

— Tak. Nie wystarcza mi. Chociaż nie piszę właściwie nic innego.

— Czy pan także pisze głównie liryki?

— Tak. Głównie liryki... Ale zerwanie z liryką będzie czymś więcej niż naszym indywidualnym buntem, czy odejściem... Musi stać się...

W ten ciepły, słoneczny dzień właśnie, dwa i pół roku temu zapadło niewypowiedziane, ale szczere i rewolucyjne przyrzeczenie. To wystarcza dziś...

Historia naszych wieczorów autorskich — kiedy myślę o tym teraz — były ładnymi w gruncie rzeczy historiami. A narodziny SINu, wyłaniające się z pomiędzy ciemnych zatok niepamięci, zawsze przywodzą na myśl coś prawie biblijnego. Narodziny, które miały wiele zwiastowań w każdym razie. I które miały swoją, bardzo białą, śmiertelną najwidoczniej gwiazdę: gwiazdę śmierci pierwszego Redaktora i Twoją — Drogi.

Nie miałeś i ja nie miałem nigdy zwyczaju zawracać wstecz i wspominać tych historii, nawet ich najłagodniejszych fragmentów. Mieliśmy mało czasu. I jeżeli już wspominaliśmy cokolwiek, to nasze projekty na przyszłość, perspektywy rozpinające się przed nami, nie za nami, rzeczy do zdobycia dopiero.

A jednak, jeśli chce się zarysować tu chociaż sylwetę Twoją, nie sposób zrezygnować wtedy z tych trzech lat wspólnej przeszłości i przede wszystkim z tych „historii" wieczorów autorskich i narodzin SIN'u.

Był, zdaje się, listopad: długie noce bardzo zimno już. Pisywaliśmy po cudzych mieszkaniach, albo we własnych kuchniach. „To heroizm jednak — mówił — zachować samotność twórczą nie tylko wobec ludzi, ale nawet wobec gotującej się zupy". — „Pomidorowej, w dodatku — zrobiłeś aluzję do tego gastronomicznego motywu z pisanej wtedy przez Niego noweli „Biegiem w głąb życia". — „No, cóż — przytaknął — niech już będzie pomidorowa".

Pokoje były lodowate. Zebrania odbywały się w paltach z nastawionymi kołnierzami, w rękawiczkach. Biliśmy od czasu do czasu hołupce, biegaliśmy naokoło stołu, gimnastykowaliśmy się na krzesłach... Trzeba było mieć dużo skupienia i uwagi, aby nie zmienić wszystkiego w kabaret. Na tym tle pamiętam czytanie Jego pierwszej noweli „O barze pod lampionami" i pierwsze w przypadkowo jeszcze zebranym zespole, zebranie dyskusyjne. Nowela wypadła dobrze. Start udał się.

„Boję się — powiedział autor — że poprzez te hołupce i gimnastykę nie dosłyszycie wszystkiego. Ale trwa czterdzieści minut w każdym razie".

Byliśmy uderzeni dwoma zjawiskami, nowymi dla nas jeszcze: ten człowiek znał ilość czasu, potrzebną na czytanie i potrafił czytać bez najmniejszego pośpiechu...

Natomiast koło dyskusyjne było bardzo jeszcze niedobrane. Pierwsze zebranie zakończyło się brutalną opozycją, rozłamem i demonstracjami.

— „Przyszedłem tu tak, jak przychodzi się na plażę: dla przyjemności — wyjaśniał jeden ze złośliwych opozycjonistów — tymczasem nie znajduję tu...".

— „A, tak — ma pan rację zupełną, brak słońca, fiasco jednym słowem" — odpowiedział sztywno inicjator. Ktoś na rozgrzewkę okładał się po dorożkarsku pięściami. Demonstranci wyszli. Pauza tygodnia. Nowi ludzie. Jednocześnie nowa Jego artystyczna pasja: napisania jakiejś irracjonalistycznej opery. „To nie może być dramat. Muzyka jest tu konieczna: pogłębi całą dziwność tego...". Muzyk: człowiek o pałeczce dyrygenta, zbierający namiętnie portrety różnych Bachów i Bethovenów, kompozytor utworów fortepianowych, nie umiejący grać na fortepianie. To on miał tworzyć muzykę tej opery. Narazie pisał jakiś kwartet bodaj. Z opery nic nie wynikło. Ale z samego muzyka—owszem: przede wszystkim głęboka nasza przyjaźń, następnie jego kierownictwo nami, a później jeszcze... najpiękniejsza Jego nowela-groteska „Pożegnanie mistrza", gdzie motyw literacki muzyki, Jana Sebastiana Bacha i jego fugi, i dwunastu dyrygentów z podniesionymi do góry pałeczkami — najlepiej świadczy o wpływie, jaki miał na nas nasz kierownik—muzyk.

Pierwszy wieczór zbiorowy na zewnątrz. Niesłychanie dużo ludzi, tłok prawie. W sąsiednim pokoju nasz kolega malarz wykańcza nerwowo essay o malarstwie narodowym. Nowela „Biegiem w głąb życia" podbija publiczność. Artykuł p. .t. „O postawę człowieka tworzącego" wywiera wpływ wręcz nieoczekiwany; ktoś zaczyna cicho płakać.

Następnego dnia późnym wieczorem, po ciemku, ostatnia odprawa redakcyjna. „Ustalamy ostatecznie menu pierwszego numeru „Sztuki i Narodu" — mówi z radosną oficjalnością — na początek idzie mój artykuł o tej postawie człowieka tworzącego..." i nagle nie wytrzymuje, przypominając sobie wczorajszy wieczór, i pyta: Dlaczego ona, u diabła, płakała wtedy? — W dziesięć dni później podczas przypadkowego pozornie spotkania w sposób równie przypadkowy rzuca mi swoje łobuzerskie pytanie: „Czy czytał pan już ostatni numer znanego warszawskiego wydawnictwa kulturalnego „Sztuka i Naród"?

Tak brzmiał pierwszy komunikat o wyjściu pierwszego numeru t. zw. później.

Inna zupełnie epoka z przed roku już, epoka pisania żołnierskich piosenek dla przygotowujących się grup Uderzenia. Lato całe i jesień nasycane melodiami, niepowtarzające się dni wypełnione już wciąż niepowracającymi refrenami. To był dziwny okres.

„Muszę ci pokazać swoją najnowszą piosenkę — powiedział mi przed samym swoim wyjazdem do Zakopanego — taka trochę żartobliwa. O Natalii" Ale to nie było jeszcze nic skończonego. Zaledwie parę fragmentów tekstu. Wyjechał do Zakopanego z zaczętą piosenką. Pisał nam stamtąd pyszne, kpiarskie listy. Burzył się w nich i pienił żywiołowy śmiech z wszystkich konwencjonalizmów folkloru. Bił z nich mocny, coraz głębszy oddech zdrowiejących płuc. Spadł do Warszawy nieoczekiwanie, prawie cudownie Opalony, w rozpiętej koszuli, z włosami pełnymi jakby lekkości, uśmiechnięty... Przywiózł ze sobą stamtąd cztery rzeczy.

— Cztery rzeczy, powtarzam...

— No, jakie?

— Widzisz, nic nie wiesz?.. A więc słuchaj, daragoj... Po pierwsze — bycze zdrowie. Po drugie — początek powieści. Po trzecie — nowy swój portret, robiony ołówkiem przez p. X. A po czwarte — po czwarte musisz posłuchać... Była to właśnie piosenka o Natalii. Zaczął ją śpiewać i urwał. „Zapomniałem już, jak tam dalej..." — powiedział z celową nonszalancją.

— No jakto — zapytałem go niedowierzająco — a melodia? Kto napisał melodię? „Cóż, daragoj, roześmiał się kpiarsko. Zdarzają się nieraz ludzie genialnie wszechstronni, ludzie o pokroju Lionardów? Buonarottich, czy jak tam.. Naturalnie umysły płaskie i powierzchowne przypuszczają, że takie rzeczy i tacy ludzie mogli się zdarzać tylko kiedyś tam bardzo dawno, a tymczasem.. tymczasem dziś, jak sam masz możność oglądać".

Urwał.

— „Dość, powiedziałem — więc to ty

— Co? — Roześmiał się lekko beztrosko. — „Ja — powiedział — Wagner współczesności. — Zapadał wieczór. Wieźliśmy rikszą jakiś transport bibuły. Asfalt i płonące wysoko, pod sklepieniem nieba latarnie. Opowiadał o Zakopanem. Nagle przypomniał sobie.

— Jest — krzyknął — mogę ci ją zaśpiewać w całości. Chodziło naturalnie o „Natalię". Śpiewał półgłosem. Asfalt i latarnie wysoko pod niebem i bibuła niewiadomo po co w tym wszystk m..

Andrzej Łomień-Trzebiński

Wymarsz Uderzenia

A jeśli bzy już będą, to bzów mi przynieś kiść
i tylko mnie nie całuj i nie broń, nie broń iść.
Bo choć mi wzrosłaś w serce, karabin w ramie wrósł
i Ciebie z karabinem do końca będę niósł...

To wymarsz Uderzenia i mój i mój i mój
W ten ranek tak słoneczny piosenka nasza brzmi—
słowiańska ziemia miękka poniesie nas w bój —
Imperium gdy powstanie, to tylko z naszej krwi.

A jeśli będzie lato, to przynieś żyta kłos
dojrzały i gorący i złoty jak twój włos,
i choćby śmierć nie dała bym wrócił kiedy żyw,
poniosę z twoim kłosem słowiańskich zapach żniw.
To wymarsz Uderzenia...

A jeśli będzie jesień, to kalin pęk mi daj
i tylko mnie nie całuj i nie broń iść za kraj.
Bo choć mi wrosłaś w serce, karabin w ramię wrósł
i ciebie z karabinem do końca będę niósł...
To wymarsz Uderzenia...

Poniosę nad granicę kaliny, kłosy, bzy
to z nich granica będzie — z miłości, a nie z krwi
granice mieć z miłości w żołnierskich sercach U —
nasz kraj się tam gdzieś kończy, gdzie w piersiach braknie tchu.
To wymarsz Uderzenia...

...O Natalio, o Natalio, o Natalio,
Pachniesz wiatrem, leśnym szumem i
konwalią...

Taki był refren piosenki. Pomaszerowała już ona razem z żołnierzami Uderzenia w pole. Towarzyszy dywersantom, walczącym z niemcami.

Szkoda, że nie doczekałeś tego, Drogi mój.

*

Coraz bliżej teraźniejszości Wspomnienia mnożą się i coraz trudniej je wybierać. Są ze sobą powiązane nierozerwalnie, stanowią jakiś jeden potok...

Życie artystyczne, publicystyczne, polityczne, żołnierskie, życie wreszcie bezdenne okresami, konspiracyjne.

Konspiracyjność była w tym wszystkim czymś samodzielnym, osobnym, wyodrębnionym. Potrafiliśmy poświęcać jej długie opowiadania i analizy.

Fascynowały nas te kapitalne sytuacje. zawiłe rytuały, tajemniczy ludzie. Było w tym zawsze coś z przedwojennych grotesek Schulca czy Gombrowicza.

Spotykaliśmy się co wieczór pod kolumną Zygmunta. Siadaliśmy wygodnie na postumencie i ostygaliśmy powoli z roznamiętnienia przeżytym dniem, aby zapalić się z kolei do tych opowiadań: irrealnych, dziejących się w innym wymiarze napozór, a jednocześnie tak niesłychanie zaplątanych we wszystkie gałęzie życia.

„To trzeba koniecznie napisać — powtarzał bezustannie — choćby jako cykl grotesek. Albo jako powieść"

„Ja osobiście myślę o balecie — powtarzałem w odpowiedzi — dopiero milczący balet uwypukli ten główny dogmat konspiracji, że wszystko dzieje się w ciszy".

Każdy z nas miał swoje konspiracyjne osiągnięcia. Swoje specjalności.

Kiedyś np. zaprowadził mię do jednego ze swoich mieszkań. „Patrz — powiedział, zataczając się od śmiechu — to ma udawać wobec gospodarzy wielką firmę narzędzi rolniczych. To ma być tym alibi dla przychodzących tu naszych konspiratorów. Spójrz tylko.

...Rzeczywiście to nie było pozbawione wyższej brawury. Na środku pokoju stał maleńki stolik, na którym leżało parę żelaznych drobiazgów.

— Czy to już cały inwentarz znakomitej naszej firmy?

— Tak — odparł — niestety, cały.

Przyglądałem się firmie z podziwem.

— Najgorsze — powiedział nagle — że żaden z nas nie ma zielonego pojęcia, jak się te żelazne drańśtwa nazywają...

— Jakto, nie wiesz tego? — Pokręcił głową. Nie wiedział.

—A ty za to wiesz?

— Nie wiedziałem oczywiście także.

— Bo co? — zapytałem.

— Bo gospodarze chcą od nas to kupić — powiedział z lekką melancholią.

*

Kim mogłeś być? Powiedziałem już, tego nie wiem, milczę o tym przez szacunek dla intymności naszych wizji. Kim byłeś wobec tego?

Och, nie zakuwam Cię w patos, nie zamieniam Cię ani trochę w bezruch. Przeciwnie: unikałem w tym przyjacielskim wspomnieniu wszystkiego, co mogłoby mieć choćby pozór nekrologu. Chciałem Cię ukazać przede wszystkim kimś żywym, kimś napadniętym przez śmierć, w momencie intensywnej, wielostronnej twórczości. Chciałem w ten prosty sposób właśnie odmalować całą grozę Twojej śmierci, śmierci prawdziwie żywego człowieka. To powinno mnie rozgrzeszyć, mam wrażenie.

Kim byłeś?

Autorem mocnych, pięknych liryków prozą, autorem sześciu wykończonych i dojrzałych jak owoce opowiadań, żywiołowym człowiekiem teatru, aktorem, reżyserem, dramaturgiem, znawcą i miłośnikiem Norwida (a obok tego Gałczyńskiego) drugim redaktorem SIN'u i publicystą z ogniem fanatyzmu, twórcą i wykonawcą znanych już dzisiaj piosenek Uderzenia, politykiem i żołnierzem, konspiratorem i kpiarzem.

Kim byłeś? Drogi? Twórcą najbujniejszego, jakie znam, życia. Nie ma w tym nic przesady. W tym życiu, nie w śmierci ostatecznie, tkwi chyba to coś, co nazywamy nieraz heroizmem. Jeszcze wtedy, kiedy panująca ideologia była ideologią „przeczekiwania". Ty z pasją i na każdym kroku zadawałeś swoje niepokojące pytanie: No, a dziś?

Rozumiałeś, jak mało kto że obok wszelkich planów, wyników i osiągnięć, istnieje moment samej pracy człowieka i jej etycznej wartości. To przede wszystkim miałeś na myśli, mówiąc mi kiedyś w zimie: „Myślę, że bohaterstwo polega nie na tym, iż nie poddajemy się przemocy w pewnych, zwłaszcza efektownych momentach, ale na tym, iż się nie poddajemy w żadnym wypadku, nigdy. Kiedy mając cały dzień zabity pracą, mając odmrożone ręce i uszy i jadąc zapchanym wariacko tramwajem — wyjmuje się nieraz z kieszeni jakiś tom Szekspira, Kochanowskiego, czy Tomasza z Akwinu i zapada się w piętnastominutową lekturę, to mam wrażenie, że to jest istotą prawdziwego, dzisiejszego bohaterstwa.

Miałeś w sobie zresztą oba nurty bohaterstwa i tego zdobywczego wobec życia i tego drugiego — wyzywającego śmierć.

Twój stosunek do śmierci był zawsze intymny i oryginalny. Afirmowałeś życie, ale dojrzale i po męsku. Znałeś całą jego gorycz, dziwność i trudność. Wierzyłeś w życie nie dlatego, że się do niego przyzwyczaiłeś i że widziałeś w nim coś niezmiernie oczywistego, ale dlatego właśnie, iż widziałeś w nim wieczyste musowanie i burzenie się cudu.

Gorzkiego, dziwnego i trudnego wprawdzie, ale właśnie cudu.

„To śmierć nasza dopiero — mówiłeś kiedyś — jest tym ostatecznym dożeglowywaniem naszym do spokojnego, pełnego ciszy brzegu zwyczajności dożeglowywaniem pod białymi, bardzo białymi żaglami siwych włosów.

Być może brzmiało to nieco inaczej, nie tak lirycznie, jak tutaj, ale znaczyło to samo.

Śmierć, to był cały system myślenia, całe odgałęzienie Twojej myśli.

Śmierć nie jest bynajmniej zanikaniem życia — mówiłeś gdzie indziej — ona jest tylko przekazywaniem energii życiowej komuś innemu. Śmierć nasza rozpala życie w innych. Daje im świadomość, siłę i odwagę...

Poprzez całą twórczość Twoją rosła i kwitła ta śnieżna gałąź śmierci.

Od noweli z przed dwu lat „Biegiem w głąb życia", poprzez tragiczny „Jeden dzień z życia Witolda Grabca", poprzez „Hymn", liryk prozą „Zielony pomnik" i ostatnie z opowiadań „Powrót", aż do żołnierskiego żałobnego marsza „Pieśń ostatnia", napisanego na parę dosłownie dni przed tamtym dniem...

*

Nie piszę tu nekrologu. Nie daję przeglądu twórczości artystycznej. Nie daję nawet zarysu ideologii Zmarłego. Zrobię to później, albo nawet zrobią to inni. Lepiej z zimną krwią, obiektywniej.

To, co napisałem tu, to tylko wspomnienie o Przyjacielu. Nic więcej.

I to, niełatwo wracałem do tych rzeczy, do przeszłości naszych wspólnych trzech lat. Ale nie miałem w tym wyboru. Przyszłość nasza bowiem zredukowała się do jednego uświadomienia sobie, do myśli, że jesteśmy nadal bardzo blisko od siebie, że mogę Cię każdej godziny dopaść jednym susem, jedną poprostu kulą, wymierzoną mi gdzieś w tył czaszki, czy między oczy.

Dlatego też nie żegnam Cię patetycznie i „na zawsze". Tak tylko, jak codzień wieczorem, kiedy kończyliśmy pod klumną Zygmunta, czy pod kościołem św. Aleksandra nasze cyniczne opowiadania o „życiu". No, tak. Tak tylko. Nic ponadto — czołem. Czołem, Drogi.

...Czołem chłodnym, sięgającym, dorastającym powoli, zimnej i gwiaździstej, rozpiętej nad nami ciemności — wieczności...

1943 r.

Andrzej Łomień-Trzebiński

Mieczysław Kurzyna

IMPONDERABILIA

Pisanie o własnych przekonaniach jest zawsze cokolwiek upakarzające.

Istnieje bowiem obawa fałszywego zrozumienia przez czytelników, którzy wplątani w panującą wszechwładnie dewaluację słowa, gotowi są szukać prawdy między wierszami, przechodząc obojętnie obok istotnie zawartej w nich treści.

Są przecież chwile, gdy trzeba zlekceważyć niechętnych i nieufnych. Są tematy, które od czasu do czasu muszą być przedstawione, jak credo. Konieczność otwartego nakreślenia własnych imponderabiliów wyznacza publicyście i czytelnik i współtowarzysz. Wówczas odpadają względy uboczne, znika publicystyczna pruderia i taktyka, a pozostaje jedynie sama prawda.

SPRAWA ZASADNICZA.

Ukazanie się pierwszych numerów „Dziś i Jutro" wywołało wiele zastrzeżeń i komentarzy. Starano się za wszelką cenę przeniknąć, co kryje w sobie ta inicjatywa. Śledzono uważnie przeszłość polityczną każdego z członków komitetu redakcyjnego, dopytywano się i węszono na wszystkie strony.

Najwięcej przy tym nieufności, nawet w kołach bliskich naszemu środowisku, budził podtytuł „tygodnik katolicki". Krytykowali go zwolennicy i antagoniści religii, dopatrując się w nim bądź chęci nadużywania autorytetu Kościoła, bądź grania na nastrojach opinii, lub jakiejś perfidnej gry w stosunku do wszystkich i wszystkiego.

Ci, którzy wolą pojmować katolicyzm jedynie jako system myślowy, przestrzegali nas przed balastem „obrządku", tłumacząc, że zrazi on Polaków „bardziej związanych z narodem, niż z religią". Inni przypuszczali, że kierujemy się jakimiś zakonspirowanymi względami taktyki, chcąc pod cudzym płaszczem przemycić własne cele polityczne. W najlepszym razie posądzano nas o sianie zamętu i przestrzegano przed herezją.

Nigdzie natomiast nie przypuszczano, że chcemy wydawać pismo katolickie bez żadnych względów ubocznych. Nie umiano zrozumieć, że u podstaw decyzji, która doprowadziła do umieszczenia owego podtytułu, kryje się tylko chęć walki o zwycięstwo katolicyzmu w Polsce. W okresie pięciu lat zmagań z okupantem, w analizie strat, jakie poniosło środowisko, dojrzało w nas przekonanie o zasadniczej ważności wiary w życiu jednostki i społeczeństwa. Przeżyliśmy w sobie raz jeszcze katolickie imponderabilia i z doświadczenia krwi wysnuliśmy wnioski zasadnicze. Znaleźliśmy potwierdzenie naszego przekonania o zależności spraw doczesnych od spraw wiecznych. Przeżyliśmy prawdę, że odrodzenie Polski jest tylko w katolicyźmie.

Dlatego też, choć jesteśmy zespołem świeckim, choć szanujemy autorytet Hierarchii Kościoła, działamy na własną odpowiedzialność i podjęliśmy walkę o skatolicyzowanie Polski.

Przedstawiona tu geneza naszej decyzji wydawania pisma katolickiego nie byłaby pełna, gdyby pominąć w niej moment psychologiczny. Powstaliśmy i wyrośliśmy jako środowisko rewolucyjne. W nieznośnych politycznych i moralnych stosunkach przedwojennych ugruntowała się w nas rewolucyjna postawa psychiczna. Jej charakterystyczną cechą jest dynamiczna chęć realizacji przyjętych założeń. Z niej bezpośrednio wynika wstręt do zrzucania własnych zadań na innych i nieumiejętność biernego przypatrywania się działalności postronnych. Jeśli doszliśmy do wniosku, że wyznawane prawdy są bezwzględne i przyszłość narodu zależy od odrodzenia i wzmocnienia katolicyzmu w Polsce — naturalną konsekwencją musi być podjęcie pracy — bezpośredniej walki o katolicyzm w Polsce.

Nie jesteśmy pierwsi. I nie jesteśmy ostatni. Nasz wkład chcemy i mamy obowiązek uczynić niezbędnym.

KATOLICYZM INTEGRALNY.

Przeżywany obecnie okres ścierania się światopoglądów prowadzi do konieczności wydobycia na jaw i wyprowadzenia na plan pierwszy zdobywczych wartości katolicyzmu. Katolicyzm walczący staje się wreszcie społecznie obecnym. Nie tylko pisma katolickie, ale nawet łamy pism zdecydowanie wrogich katolicyzmowi, poświęcają mu wiele miejsca i ciągle bije w czytelnika to samo słowo z najróżniejszych stron. To przyzwyczaja ludzi do pojęcia i słowa „katolicyzm", każe mu przypisywać duże społeczne znaczenie. Istnieje jednak zasadnicza różnica między stosunkiem do katolicyzmu u wierzących, a tymi wszystkimi, którzy go krytykują. Pominąć można tu rozbieżność światopoglądów. Powstawanie kwestii formalnych, coraz trudniejszych do wyjaśnienia, wynika z tego, że u podstaw nieporozumienia leży sprawa pozaintelektualna, którą wyznacza fakt, że katolicyzm jest religią.

Polemiki ostatnich miesięcy między katolikami i marksistami, prowadzone, obfitują w ujęcia momentów przeciwstawnych obu światopoglądów. Sięga się do zasadniczych problematów filozofii, podaje się rewizji teorię poznania, wyciąga ostatnie zdobycze logistyki i dialektyki materialistycznej. Mimo to odnosi się wrażenie, że coś jeszcze nie zostało powiedziane. Istnieje w zagadnieniu jakiś punkt stale wymykający się dyskusji, a jednak niezbędny dla znalezienia możności wzajemnego zrozumienia. Tym punktem jest stwierdzenie, że nie można zrozumieć istoty katolicyzmu, jeśli sprowadza się go jedynie do systemu filozoficznego. Katolicyzm jest religią i bez przyjęcia tego faktu nie sposób go pojąć. Naukę Kościoła, system założeń i praw katolickich budowali nie tylko filozofowie, ale i święci. Wkład myślicieli i doktorów, uchwały soborów i wskazania encyklik były stale dopełniane życiem i czynami ludzi, których wpływ na społeczność katolicką był ogromny. Że zaś w samym swoim założeniu katolicyzm wymaga przyjęcia istnienia autorytetu bezwzględnego, a więc świadomej i rozumowej zgody na akt wiary, nie sposób chcieć go zrozumieć, a więc i zwalczać, pomijając jego charakter religijny. Nie znaczy to, rzecz prosta, że niecelowe są dyskusje między wierzącymi i niewierzącymi, lub że istnieje jakaś zasadnicza rozbieżność między rozumowym poszukiwaniem prawdy, a systemem katolicyzmu. Jeśli jednak trud wymiany myśli ma być owocny, trzeba pamiętać, że katolicyzm obejmuje więcej niż rozum człowieka objąć może. Czynnik wiary i uzależnienie wszelkich osiągnięć od Łaski — owa podstawa charakteru religijnego katolicyzmu — czyni znacznie szerszą płaszczyznę wszelkich katolickich przeciwstawień społecznym systemom naukowym.

Według sformułowania ks. Salamuchy katolicyzm „stanowi system aksjomatyczny niezupełny", t. zn. dopuszcza istnienie tez logicznych, których nie określa jako prawdziwe lub fałszywe. To stanowi siłę jego uniwersalizmu i daje możność pomieszczenia w Kościele wszystkich typów ludzkich w całym niezmierzonym ich bogactwie.

Z drugiej jednak strony sformułowane w katolickim poglądzie na świat prawdy są ze sobą integralnie związane i albo trzeba przyjąć je wszystkie, albo wszystkie odrzucić. Nie sposób więc oddzielać filozofii od objawienia i tego rodzaju próby w naszych oczach są dziwne. W zakresie aksjomatów katolicyzm jest integralny i choć zostawia jednostce i społeczeństwu możność, a nawet konieczność indywidualnego znalezienia drogi do Boga, w zbiorze swoich postanowień wymaga przyjęcia wszystkiego od dowodów istnienia absolutu do przedmiotów kultu i liturgii.

Dla nas zresztą nie jest to trudne. Szczególniej jeśli pogląd na świat budowało się przez 6 lat między życiem a śmiercią okupacji, konspiracji, obozów i partyzantki. Przypomnienie tej prawdy, jest w tym miejscu skierowane do tych, których „rażą" pewne przejawy życia katolickiego. Chcieli by oni widzieć w nas-

---

„Polska znajdzie w swym gorącym a chrześcijańskim patriotyźmie pogodzenie zdrowej rewolucyjnej treści czasu z wiarą ludu".

(Kardynał August Hlond, Prymas Polski).
28.10.1945.

jedynie filozoficznych spirytualistów, rewolucjonistów czy społeczników. Nie mogą zrozumieć, że przy tym „wierzymy". A jednak tak przecież jest. W przeświadczeniu naszym mniejsze ma znaczenie odkrywanie praw etyki naturalnej i budowanie państwa, jak poddawanie się współdziałanie z Łaską.

KOŚCIÓŁ.

Powołując organizację Akcji Katolickiej Papież Pius XI postawił światu przed oczy jedną z podstawowych prawd, że Kościół. Corpus misticum Christi, tworzy z Chrystusem nie tylko Hierarchia, ale wszyscy wierni. Dlatego też nasz stosunek do Kościoła nie jest i nie może być stanowiskiem obserwatorów, więcej lub mniej życzliwych krytyków. Według sformułowanych założeń, każdy katolik obowiązany jest do realizacji zadań apostolstwa świeckich i nie wolno mu się od tego uchylać. Stąd też niepoważne wydają się próby traktowania nas jako odrębnej grupy katolików świeckich, mogących nie uznać, nie podporządkować się w zakresie zasad i praw moralnych, oraz nie współdziałać z Hierarchią Kościoła. Choć bowiem wiernych i ich poczynań nie można utożsamiać z oficjalną działalnością władz Kościelnych, choć ta ostatnia nie ponosi odpowiedzialności za indywidualne czy zbiorowe poczynania katolików świeckich w zakresie społecznej interpretacji zasad katolickich — to przecież więź wiernych z Hierarchią w Kościele Chrystusowym jest najistotniejszym elementem powszechności Kościoła i uczestnictwa w Nim.

To ma swoje głębokie konsekwencje. Jako część mistycznie pojmowanego Kościoła. czujemy wraz z Nim, jako nierozłączną całością, realizujemy Jego prawa. Nie wiele nas przy tym obchodzi, że postronnym może się to nie podobać. Ważny natomiast jest fakt, iż w pracy ogólno-katolickiej widzimy i swoje zadania i, że wobec tego mamy obowiązek wypełniać je jak najlepiej.

Czując się jednak związani w dziedzinie wiary do samej głębi przekonania indywidualnego i kierunków poczynań publicznych, nie zamykamy oczu na to, że zarówno wśród świeckich jak wśród duchowieństwa wiele jest niedociągnięć. Nie wywołuje to przecież w nas buntu. Nie będziemy rozpoczynać jakiejś dziecinnej rewolucji w Kościele. Za Jego stan ponoszą odpowiedzialność wszyscy katolicy i wszyscy zdadzą z tego kiedyś rachunek.

Naszym obowiązkiem jest jak największy wysiłek podjęty dla pogłębiania katolicyzmu w nas i przez nas.

POLITYKA.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że „Dziś i Jutro" nie jest tylko pismem ideologicznym, że spełnia także pewną rolę polityczną, a w każdym razie pewną linię polityczną reprezentuje. Powstaje pytanie, jak łączy się to z założeniami katolickimi.

Wydaje się, że sprawa jest prosta. Nikt ze względu na wspólną z nami wiarę i wspólnotę walki na odcinku religijnym, nie jest obowiązany przyjmować naszych tez politycznych. My natomiast musimy rozwiązywać zagadnienia społeczne i sprawy bieżące zgodnie z przyjętym poglądem na świat. Że zaś, jak było już powiedziane, katolicyzm jest systemem aksjomatycznym niezupełnym, ramowym, istnieć mogą różne rozwiązania tych samych spraw, jednakowo zgodne z doktryną. Stąd nie wykluczone są rozbieżności, wymiana poglądów i dyskusja, które w niczym nie naruszą prawd wiary, czy szczerości naszego do niej stosunku.

W działalności swojej przyjęliśmy postawę rewolucyjną, opowiadając się za radykalizmem społecznym. Jesteśmy przekonani o słuszności tej postawy. Jesteśmy przekonani, że tylko przy takiej postawie można realizować sprawiedliwą przemianę świata. Encykliki społeczne, przewidując nadchodzące ewolucje, zdają się w tym samym kierunku zdążać, choć wyznaczają granicę modyfikacji, poza którą widzą niebezpieczeństwo. Nie będziemy tej granicy naruszać. Wydaje nam się jednak, że postawa katolików stanowczo daleka jest od niej, i że w wielu wypadkach należałoby poddać rewizji swoje stanowisko. Nie jest to przecież w naszym rozumieniu zagadnienie doktrynalne, a na pewno nie zagadnienie wiary.

Kiedy tworzyliśmy podstawy pod nasze wydawnictwo byliśmy przekonani, że tego rodzaju wyjaśnienia nie będą potrzebne. Pragniemy pogłębiać założenia naszej działalności. Nie chcielibyśmy być zmuszeni do powtarzania po raz drugi tych wyjaśnień wstępnych. Szkoda bowiem trudu na niepotrzebne pokonywanie przeszkód tam, gdzie by ich spodziewać się nie należało.

Mieczysław Kurzyna

Jerzy Antoniewicz

O plastyczną syntezę kultury słowiańskiej

Przesunięcie się całego organizmu państwowego Polski ze wschodu na zachód jest jednym z zasadniczych aktów historycznych doby obecnej w naszym organizmie państwowym, którego doniosłość i wymiar oceni historia pod różnym kątem widzenia. Z aktem tym wiążą się ogromne przemiany natury politycznej, narodowej, gospodarczej, społecznej i kulturalnej, których świadkami jesteśmy i które tworzymy w chwili obecnej.

Sprawa przesunięcia i opanowania naszego życia we wszystkich przejawach na ziemiach odzyskanych jest sprawą dominującą i w kręgu tych spraw trwać będą wysiłki wielu pokoleń w pracy utrwalającej zdobycze dnia dzisiejszego.

Polska powstała w X wieku jako państwo nad Wisłą i Odrą i zbudowana została z paru szczepów prapolskich, zamieszkujących ten obszar. W nawiązaniu do tych zrębów mamy kształtować państwo nowoczesne, którego treścią ma być władanie ziemiami nad Wisłą, Odrą, Nysą i Pasłęką. Wraz z opanowaniem tych ziem w zakresie gospodarczym i społecznym musi iść wypracowanie zagadnień kulturalnych i idei politycznych.

Ziemie zachodnie opanowywane są przez element polski, pochodzący ze wschodu, oraz centrum kraju, nie rozumiejący niejednokrotnie istotnych podstaw i przejawów życia we wszystkich odcieniach Polski zachodniej. Jedną z podstawowych czynności w tym zakresie winno być scalenie duchowe tych rozbieżności koło idei i koncepcji politycznej państwa piastowskiego. W prasie periodycznej niejednokrotnie dawano w ten czy inny sposób temu wyraz w całej masie artykułów, przyczynków i notatek, mających na celu penetrację życia i dziejów politycznych ziem zachodnich. Ma to nie tylko znaczenie wychowawczo - polityczne, ale także doniosłe znaczenie dla kultury naszej, zwłaszcza jeśli są one oparte na realnych danych naukowych. Wiele bowiem problemów zostaje przepracowywanych na nowo przez badacza, nie jedno zagadnienie już zostało oświetlone pod nowym zgoła, nieoczekiwanym kątem widzenia, którego nowa treść wyszła na jaw na tle ogólnoeuropejskich prądów ideowych doby współczesnej, zwłaszcza w odniesieniu do zagadnień społecznych i gospodarczych.

Nie jest to jednak wszystko.

W chwili obecnej potrzeba nam coś niejszego, coś bardziej wyrazistszego, bardziej przemawiającego do mas, niż praca publicystyczna w zakresie organizacji administracyjnej tych obszarów, rozwoju przemysłu, czy całej skali zagadnień kulturalnych doby obecnej, czy w perspektywie historycznej. Trzeba w społeczeństwie polskim zasymilować i scalić duchowo przekonanie do ziem zachodnich przez wywołanie oddźwięku ideowego za pomocą spopularyzowania dziejów i kultury tych odzyskanych ziem. Trzeba dać syntezę tych dziejów kultury i życia politycznego w formie plastycznej syntezę, która by była widziana i oglądana przez wszystkich.

Ziemie odzyskane mają wielkie tradycje w zakresie politycznym i kulturalnym, które trzeba wydobyć na jaw. Żyjemy w czasach, gdzie się mówi wiele o współpracy Słowian, o wspólnych cechach narodów słowiańskich w przyszłości i teraźniejszości w zakresie dziejów politycznych i kulturalnych. Wygrana wojna — nad odwiecznym wrogiem Słowiańszczyzny — Niemcami — scementowała wspólnotę interesów narodów słowiańskich.

Czy istnieje jednak osobna kultura słowiańska? Czy istnieje historia ludów słowiańskich?

Nie zapominamy o skarbach myśli twórczej w literaturach słowiańskich. Odnajdujemy wiele bogatych myśli w literaturach: rosyjskiej, czeskiej, serbsko-chorwackiej, bułgarskiej i t. d. Mówimy o świecie językowym słowiańskim. Cóż jeszcze? Mówi się o walkach wyzwoleńczych, podjętych przez grupy pewnych narodów słowiańskich, czy przedstawicieli tych narodów, o lepsze jutro polityczne czy społeczne. I to chyba wszystko. Słowiańskość poza tymi wymienionymi dziedzinami wymyka się nam, jest nikła, niewidoczna, nie ma dotykalnych cech życia.

Czy znana nam jest kultura słowiańska w zakresie materialnym w przeciwieństwie do kultury germańskiej?

Dotychczas służyły nam do tego kompendia L. Niderlego oraz Moszyńskiego. Kto jednak do nich zagląda? Są to prace, z których korzystają ludzie nauki, są to prace, które czytają ludzie skupieni koło katedr uniwersyteckich i instytucji naukowych. Dotąd nikt nie wyszedł z próbą przedstawienia tej kultury plastycznie poza np. pracami Jakubowskiego, mocno zresztą fantazyjnymi, jeśli tu wymienić rzeczy ostatniej doby. Nie możemy też naszych znajomości tych problemów rozwiązywać wg. tak popularnego wzoru reportażowego, jak to uczynił Kisielewski w książce p. t. „Ziemia gromadzi prochy", która taką popularnością cieszyła się w okresie okupacji. Stać nas być powinno na rzeczy poważniejsze w dziedzinie upowszechniania wiedzy o Słowianach.

Żyjemy w dalszym ciągu w zakresie pojęć o Słowiańszczyźnie w kręgu „sielankowości" Simokraty, przejętych przez J. I. Kraszewskiego, zawartych w „Starej Baśni", oraz melancholijnego i pełnego smutku nastawienia Stasiaka, zawartego w książce p. t. „Brandenburg kraina słowiańskich mogił", która jeszcze nie doczekała się nowej edycji, tak bardzo na czasie. Sztuki teatralne oraz ich inscenizacje odbiegają w zakresie zwłaszcza dekoracji wnętrz i kostiumów od istotnych cech kultury słowiańskiej i piastowskiej, jak np. Wyspiańskiego „Bolesław Śmiały", czy Celtowie w „Lilli Wenedzie" Słowackiego i wiele innych. Panuje w nich duch fantazji a nie realnej rzeczywistości.

Poza Lehrem-Spławiańskim, który przed samą wojną ogłosił małą pracę na temat Słowian Zachodnich, nikt nie powrócił u nas do barwnej mozaiki plemion słowiańskich jak Daleminccy, Milczanie, Łużyczanie, Serbiszcze, Sprewianie, Hawolanie, Drzewianie Obodryci i Wagriowie, którzy wachlarzem rozsiedli się za Odrą i Nysą w dorzeczu Łaby, a przepracowanych dawniej przez Wachowskiego i Bogusławskiego.

W zakresie czasów przedhistorycznych sprawa wygląda jeszcze gorzej. Nikt nie ma wielkiego pojęcia o kulturze przedhistorycznej Słowian, ich migracjach oraz siedliskach poza gronem fachowców i przedstawicieli nauk pokrewnych. Wina leży u podstaw organizacyjnych i badawczych tej nauki. Wprawdzie nauka ta w ostatnich dziesiątkach lat zrobiła takie postępy, że nie winna być już nauką „tajemną", to jednak jeszcze wiele rzeczy jest spornych, wiele problemów przeddziejowych nie zostało dokładnie wyjaśnionych. W zakresie dydaktycznym nie wypracowano dotąd właściwych metod działania, gwoli upowszechnienia wiedzy w zakresie życia ludów przedhistorycznych a Słowian w szczególności.

Muzea przedhistoryczne były w większości wypadków przysłowiowymi „gabinetami starożytności", z których przeciętny widz nie wynosił nic prócz znużenia i nudy w większości wypadków. Cały bowiem wysiłek działu ekspozycyjnego szedł w kierunku wyodrębniania kultur oraz ujęcia ich w ramach chronologicznych, równolegle z postępującą naprzód w zakresie badawczym prehistorią przez odpowiednią wystawę typowych dla danego kręgu kulturowego zabytków. Widz po obejrzeniu paru gablot z wystawionymi okazami broni, narzędzi czy ceramiki wychodził znużony nie rozumiejąc całej barwy życia w „suchych" eksponatach, które innym okiem oceniał fachowiec. Rezultat jest taki, że widz b. często nie widział istotnych cech kultury słowiańskiej, która winna być specjalnie tam podkreślona i jest zdumiony różnicą w zakresie pewnych wyobrażeń, które mu dała literatura piękna a namacalna treścią eksponatów muzealnych.

Syntezy życia ludów przedhistorycznych muszą być tak podane, by nie były tylko suchą ekspozycją zabytków przed i wczesnodziejowych. Wystawa kultury słowiańskiej winna w namacalny sposób przedstawić procesy dziejowe, gospodarcze i społeczne ludów słowiańskich za pomocą map, wykresów, rekonstrukcji i zabytków. Wydaje się, że do widza nie obeznanego z prehistorią, należy podejść od strony namacalnych plastycznych przedstawień różnych przejawów życia ludów przedhistorycznych, a nie wykazywać mu typologiczny rozwój ceramiki czy siekiery kamiennej.

Nie lepiej wygląda sprawa genezy państwa polskiego, wysunięta kiedyś nieopacznie przez Czackiego a przepracowana potem przez Piekosińskiego. Gdy ożyła ona w 1918 r. u Holtzmanna a potym w roku 1934 u Brackmanna i aż do lat wojennych trwała w ostatnich wypowiedziach Jankuhna i Ludata, to nie doczekała się dotąd należytej odprawy od czasów Balzera i ostatnio częściowo przez Wojciechowskiego. Do jakich bzdur dochodziła w tym zakresie nauka niemiecka, świadczy teza młodego badacza Peuckerta, który dowodził w Krakowie w roku 1944 na publicznym odczycie o śladach wikingskich w tymże mieście.

A mamy do zanotowania u nauki radzieckiej prace: Piczety „Powstanie Państwa Polskiego", Dzierżawina „Powstanie państw zachodnich Słowian", czy Mowdrowina „O początkowym etapie historii narodu i państwa rosyjskiego" jako prace ostatnich miesięcy.

Trzeba wreszcie przepracować raz jeszcze z naukowego punktu widzenia teorię normańskiej genezy państwa polskiego przez wspólną monografię historyków, prehistoryków i innych nauk pokrewnych, aby wreszcie sprawa ta była wyjaśniona całkowicie pod kątem różnorodnych możliwości i położyć w ten sposób tamę tendencyjności niemieckiej.

Należy przeprowadzić gruntowne badania grodzisk słowiańskich nad Odrą i Nysą, dokończyć badanie piastowskiego Opola, Wołynia u bram Szczecina, oraz wiele innych stanowisk, które zostaną odkryte w międzyczasie w wielkim planie metodycznego badania Słowiańszczyzny.

Są to jednak wysiłki badawcze. Jednocześnie z tymi winna powstać równolegla akcja popularyzatorska za pośrednictwem muzeum. W ramach akcji upowszechniania kultury musi się znaleźć tak ważny odcinek, jakim jest wiedza o ziemiach odzyskanych przez budzenie silnych związków plemiennych i historycznych u społeczeństwa polskiego. Stoi wielkie pole przed muzealnictwem. Stwórzmy plastyczną syntezę o kulturze słowiańskiej i piastowskiej dla ogółu. Człowiek od maszyny fabrycznej, czy z za biurka urzędu nie sięgnie w większości wypadków do Bogusławskiego, nie przeczyta Balzera czy Wojciechowskiego. Trzeba mu w tym pomóc. Prehistorycy, historycy, historycy sztuki i kultury, numizmatycy i t. d. winni podjąć się tego zadania by wypracować wspólną syntezę dotychczasowej naszej wiedzy o Słowianach i Piastach na ziemiach odzyskanych na tle ustrojów plemiennych, oraz koncepcji państwa Piastów.

Znajdą się tu różne zagadnienia do wydobycia na światło dzienne. Winien nastąpić przekrój przez całą kulturę słowiańską i piastowską od jej narodzin aż do rotundy i tumu romańskiego, bo jakże to bogata treść w zakresie różnorodnych zagadnień jak problemy społeczne, gospodarcze, polityczne, ustrojowe, kulturalne łącznie z problemami wpływów i t. d.

Dla przykładu warto przytoczyć fakt, że oprócz wpływów zachodnich romańskich, istnieją bizantyjskie z Włoch przez Akwileję i Wenecję, oraz drugie odrębne z Rusi i Konstantynopola w których każde mają inną wymowę, inną treść i wartość nadającą się do podkreślenia. Wydobyć należy piękno architektury piastowskiej przez odpowiednie plastyczne

wyobrażenia, oraz fotograficzne zdjęcia na tle ogólnoeuropejskich prądów kulturalnych. Sprawa rotund przedromańskich wzniesionych na ziemiach polskich, które nie jedne są w typie czeskich z XI wieku, wymaga należytego wyjaśnienia.

Przeciętny człowiek słyszał coś nie coś o rotundzie wawelskiej, nic na pewno nie wie o pozostałych. Sprawa ta nabiera przecież szczególnego aspektu wobec odkryć nowej rotundy w Cieszynie, oraz rotundy śląskiej, wawelskiej i z Grzegorzewic, nie mówiąc już o zabytkach, bardziej sięgających na północ jak np. św. Prokopa w Strzelnie.

Również niezwykle ciekawą sprawą są np. średniowieczne klasztory cysterskie w Polsce, w których zaznaczają się filiacje macierzystych klasztorów francuskich (Morimond), nadreńskich (Camp i Altenburg) oraz francusko-duńskich (np. Oliwa) w barwnej treści odchyleń specyficznych polskich, dyktowanych zmiennymi warunkami. Nie mniej ciekawą sprawą będzie np. działalność budowlana rodu Łabędziów na Śląsku i Kujawach i wiele innych.

Zrewidowaniu pozytywnemu muszą ulec ruiny na ostrowie Lednicy, naświetlone ostatnio ciekawie, ale tendencyjnie, przez Weidhaasa i wiele im podobnych. Jeśli dziś genezę drużyny książęcej widzimy w tradycjach karolińskiej drużyny panującego, a nie normańskiej, jak chce nauka niemiecka, które to tradycje zaczęli przed Piastami naśladować książęta wielkomorawscy i czescy — łączność Lednicy z wzorami karolińskimi w późniejszym wydaniu zdaje się być nieodłączna, co jeszcze potęguje fakt istnienia w Lednicy rotundy.

Nie mniejsze mają pole historycy. Jeśli chodzi o Śląsk, ze strony niemieckiej podjął ostatnio Samulski rewizję dotychczasowego składu osobowego kapituły wrocławskiej od czasu powstania biskupstwa wrocławskiego aż do śmierci Nankera. Praca ta musi ulec pewnej rewizji w zakresie pewnych problemów tam wysuwanych, których świetną antytezą jest mała, zwięzła i popularna praca Silnickiego o roli dziejowej kościoła na Śląsku w XI—XIII. Również sprawa biskupstwa lubuskiego, plastycznie i przekonywująco przedstawiona przez T. Wojciechowskiego, pokusiła badaczy niemieckich, sprowadzając ogólne tezy na pewne manowce w oświetleniu Ludata.

Jak z powyższego widać, w okresie przedwojennym i wojennym Niemcy przepracowali wiele zagadnień z dziedziny naszej kultury tendencyjnie pod kątem ich potrzeb. Naszym zadaniem musi być nie tylko oczyścić po nich zamęt, jaki wprowadzili do nauki przez kreowanie prawdy istotnej, ale iść dalej.

Na podkreślenie zasługuje tu sprawa Jaksy z Kopanicy, jako symbolu walki o ziemie słowiańskie nad Hawelą i Sprewą. Nie mniejsze znaczenie ma sprawa związku Pomorza zachodniego z Polską. Wołyń i Rugia ma tu swą wymowę. Plastycznie wreszcie należało by na mapie przedstawić wpływy obce na dokument polski w XII i XIII wieku, zagadnienie dróg handlowych, komór celnych i t. d.

Problemy i procesy dziejowe, kulturalne i społeczne winny emanować plastycznie, winny przedstawiać łatwo i przystępnie drogą retrospektywną istotny obraz plemiennego bytu Słowian, oraz kształtowanie się państwowości polskiej, jak i jej rozwój kulturalny wg. naszego stanu dotychczasowej wiedzy.

Rozglądając się po naszych centrach naukowych i muzealnych dojdziemy do przekonania, że nie może to być praca jednego ośrodka muzealnego. W pracy tej winny współdziałać wszystkie ośrodki. Ze względu na propagandę zagraniczną byłoby wskazane urządzić tę wystawę najpierw w W-wie, a potym by objechała wszystkie ośrodki w Polsce centralnej i zachodniej, gdzie by istniały odpowiednie warunki lokalowe. Będzie to przedsięwzięcie na wielką skalę, gdyż połączy poważny wysiłek naukowo-koordynacyjny różnych pokrewnych gałęzi wiedzy dla wspólnego celu upowszechnienia wypracowanych zdobyczy naukowych dla celów dydaktycznych.

Jak daleko sięgnąć pamięcią, nie zdobyliśmy się dotąd na nic podobnego. Tym większa przeto wartość dla naszej kultury takiego osiągnięcia, może nie całkiem jeszcze pełnego i dostatecznie wypracowanego, ale mającego wielkie podstawy moralne i ideowe. Jest to jeszcze jedna luka w naszych poczynaniach, które dotąd nie miały precedensu w dziejach polskiego muzealnictwa i w dziejach naszej walki o polskość ziem zachodnich, ale których realizacji w myśl zdrowego rozsądku należy się spodziewać. Przystępujmy więc do realizacji.

Jerzy Antoniewicz

Eugeniusz Pankszta

Przed spisem ludności

Na mocy uchwały Rady Ministrów ma być przeprowadzony sumaryczny spis ludności cywilnej według stanu o północy dnia 13 na 14 lutego. Spis będzie dokonany w dniu 14 lutego b. r.

Spis ludności jest dziś kwestią palącą. Brak danych statystycznych, brak konkretnych cyfr odnośnie zasadniczych zagadnień co do narodowości, wieku czy płci utrudnia, albo zgoła wręcz uniemożliwia orientację w tych kwestiach. Ostatni spis ludności w Polsce przeprowadzony był w r. 1931. Wszelkie dane z tego roku są już obecnie na skutek ostatnich przemian prawie całkowicie nieaktualne, a służyć mogą głównie jako materiał porównawczy. Obecny spis, według komunikatu PAP, „nie będzie imienny. Ilość osób zamieszkałych w poszczególnych mieszkaniach zostanie ujęta liczbowo z podziałem według płci, podstawowych grup wieku oraz narodowości".

Niezależnie od wyników cyfrowych, jakie przyniesie nam spis z 14 lutego, warto jest przypomnieć sobie konkretne dane ze spisu uprzedniego.

Ogólna liczba ludności Polski w r. 1931 wynosiła — 32.107.300 osób .(W roku 1939 suma ta wzrosła do 34,5 miliona). W tym mieszkańców **narodowości polskiej mieliśmy 21.993.400 czyli 68,9%**. Z kolei Ukraińców i Rusinów 13,9%, Białorusinów 3,1%, Żydów 8.6%, Niemców 2,3 proc. (741 tys.) i innych 3,2%. **Mniejszości narodowe stanowiły więc aż 31,1%, czyli 10.113.900 ludzi,** co osłabiało w dużej mierze spoistość wewnętrzną państwa i wywoływało szereg konfliktów tak wewnątrz jak i nazewnątrz.

Podział ludności według płci przedstawiał się następująco. Mężczyzn mieliśmy 15.427.500, kobiet zaś 16.488.300. **Na 100 mężczyzn przypadało więc kobiet 106,9**.

Jeżeli chodzi o najbardziej nas interesujące (w związku z zagadnieniem populacji) **roczniki w wieku lat 15 — 49, to stanowiły one 51,5% ogółu ludności,** czyli 16.421.200. W tym mężczyzn 7.794.700, kobiet zaś 8.626.500. Tutaj na 100 mężczyzn przypadało kobiet 110,7.

Na tle tych danych z ostatniego spisu zastanówmy się, jak najogólniej zagadnienia te kształtują się w Polsce dzisiejszej.

Zagadnienie mniejszości, tak skomplikowane w Polsce przedwrześniowej, w naszej dzisiejszej rzeczywistości kształtuje się w ten sposób, iż stajemy się państwem jednolitym narodowościowo. Osiągnęliśmy, względnie osiągniemy to po zakończeniu procesów ewakuacyjno-repatriacyjnych naskutek: a) całkowitego wysiedlenia ludności niemieckiej; b) znikomego odsetka ludności żydowskiej pozostałej po okresie okupacji; c) repatriacji Ukraińców i Białorusinów w myśl umowy ze Związkiem Radzieckim.

Nieliczny procent pozostały mniejszości nie będzie miał znaczenia zasadniczego przy rozstrzyganiu wewnętrznych zagadnień narodowościowych. Jest to bezwzględnie zjawisko dla przyszłości Polski pozytywne.

Gorzej przedstawia się obraz ludnościowy, jeżeli chodzi o granicę wieku. Działania wojenne 1939 roku, z kolei walki w formacjach polskich na Zachodzie czy Wschodzie, akcja podziemna w ramach AK, AL czy BCh pociągnęły za sobą znaczny ubytek roczników młodych i średnich. Ogromne straty ponieśliśmy tu też w wymordowanych czy zmarłych z wycieńczenia w więzieniach i obozach. Nie można też zapomnieć o znacznym procencie ludzi w granicach lat 15 — 50, deportowanych na roboty do Niemiec i tam zabitych w czasie działań wojennych. Straty te w chwili obecnej trudno ustalić cyfrowo, są one jednak bardzo poważne.

W związku z tym jest, zaistniałe skutkiem śmierci przede wszystkim mężczyzn, powiększenie stosunku liczby kobiet do mężczyzn. Osłabia to przez zwiększenie odsetka niezamężnych, zdolności populacyjne narodu polskiego.

Straty ogólne kraju ratuje w pewnej mierze inkorporacja Ziem Zachodnich z licznym elementem autochtonicznym polskim (głównie Opole, Warmia i Mazury). Liczba roczników młodych i tam jednak jest znacznie na skutek wojny zmniejszona.

Przybliżone obliczenia, po uwzględnieniu nieprzybyłych dotąd do kraju repatriantów, określają liczbę ludności Polski obecnej (bez Niemców) na 22, najwyżej 23 miliony mieszkańców. Liczbę tą zresztą ustali ściślej spis najbliższy.

Szczyciliśmy się tym, że Polska wykazuje największą dynamikę ludnościową wśród narodów europejskich. Rzeczywiście, w porównaniu z innymi narodami przyrost roczny ludności naszego kraju był najwyższy. I tak w latach 1920 — 1930 przyrost ten wyrażał się cyfrą 1,6 (Holandia 1.5, Niemcy 0,9; Francja 0,6 itd.). W latach 1930 — 1937 przodownictwo to utrzymaliśmy — z cyfrą 1,3 przyrostu rocznego. Skonstatowanie naszego dynamizmu nam wystarczało. Nie spostrzegaliśmy, że zmniejszył się on w krótkim okresie z 1,6% na 1,3%. Spadek ten najlepiej nam zresztą uwydatnią cyfry przyrostu naturalnego z poszczególnych lat. I tak: **w roku 1930 przyrost naturalny wynosił 17,0;** w 1931 — 14,7; w 1932 — 13,8; w 1933 — 12,3; w 1934 i 1935 — 12,1; w 1936 — 12,0; **w roku 1937 już tyko 10,9**. Widoczne, jak zaznacza się z każdym rokiem spadek silnie progresujący.

Dochodzi do tego, **że od roku 1943,** pomijając straty wojenne, nie tylko nie mamy zupełnie przyrostu, ale **liczba zgonów jest dwukrotnie większa od liczby narodzin.** Od roku 1943 więc naród polski **wymiera.** Trzeba wgłębić się w treść tego słowa, by pojąć, jak straszną katastrofę kryje ono w swym wnętrzu.

Warto zastanowić się pokrótce nad przyczynami tego stanu rzeczy. Więc wojna, z kolei niepewność jutra, rozłąka w rodzinach, krytyczne warunki materialne i t. d. i t. d. Zgoda. Ale gdyby się na tym kończyło, sytuacja nie byłaby jeszcze tragiczna. Koniec wojny i wielu jej pochodnych sprawę naprawiłyby stosunkowo szybko.

Niestety, w grę wchodzą tu inne jeszcze czynniki. Na pierwszym miejscu postawić trzeba sprawę **niesłychanej demoralizacji** naszego społeczeństwa. Nie mamy jeszcze pełnych danych statystycznych, ale i te, które udaje się uzyskać, są przerażające. Liczba wypadków spędzania płodu, sztucznych poronień, dzieciobójstwa przewyższa więcej niż dziesięciokrotnie podobne wypadki przed wojną. Kontrola, karalność — niewspółmierne są w stosunku do ilości popełnianych zbrodni.

Cudzołóstwo, „życie na wiarę", rozwody — są na porządku dziennym, stają się czymś normalnym, nie budzącym zgorszenia. Coraz bardziej podważa się instytucję rodziny.

Wzrasta zastraszająco ilość chorych wenerycznych. Wśród nich — olbrzymi procent wyrostków obojga płci w latach szkolnych.

Następnie. W coraz szerszych kołach, w coraz liczniejszych małżeństwach uzyskuje rację bytu stanowisko albo całkowitego nieposiadania dzieci, albo w najlepszym wypadku t. zw. **„system" jednego lub dwojga dzieci.** W „Kronice Polski i świata" był ongiś zamieszczony ciekawy artykuł W. Wasiutyńskiego, w którym autor wykazywał opłakane skutki podobnych systemów. Z tysiąca ludzi (pięciuset małżeństw) trzymających się „systemu dwojga dzieci" po kilkunastu pokoleniach skutkiem przyczyn naturalnych (choroby, wypadki, starość) nie pozostałoby nikogo. W każdym z kolejnych pokoleń ubywałby bowiem na skutek wymienionych przyczyn naturalnych, znaczny procent, co w konsekwencjach doprowadziłoby ostatecznie do zera.

Artykuł Wasiutyńskiego skierowany był w stronę warstw inteligencji i półinteligencji, gdzie system ten cieszył się uznaniem. Dziś przenikać zaczyna on i w sfery robotnicze i nawet na wieś. Tę wieś, która była główną przyczyną dużego naszego przyrostu naturalnego, tą zasadniczą biologiczną siłą dynamiczną.

Zagadnienie przyrostu naturalnego, a więc zagadnienie rodziny i dzieci, zagadnienie zabezpieczenia rodzin z licznym potomstwem przez państwo, zagadnienie walki z demoralizacją — to zagadnienie naszej przyszłości To zagadnienie, czy będziemy narodem wielkim, czy staczać się będziemy coraz szybciej w dół, do jakiegoś nielicznego, małoznaczącego narodu i państwa.

Na sprawę tę musi zwrócić baczną uwagę społeczeństwo, musi nią szczególnie zainteresować się rząd. Jak dotąd, poświęca się im mało, albo zgoła nic. Conajwyżej wydaje się nową ustawę małżeńską. Za mało bowiem mamy dotąd rozwodów..

Możliwość odrodzenia imperializmu niemieckiego, mniejsza o to z jakim tam Wilhelmem czy Hitlerem na czele, jest rzeczą, o której nie można zapominać. Prasa polska poświęca zagadnieniu temu wiele uwagi. Brak było jednak jak dotąd, naświetlenia go od strony statystyki populacyjnej.

I tak, gdy u nas przyrost naturalny zmniejszał się stale, w Niemczech zaobserwować mogliśmy zjawisko odwrotne. W roku 1931 przyrost wyrażał się cyfrą 4,8; w 1932 spadł do 4,3, w 1933 aż do 3,5, ale w 1934 i 1935 wynosił już 7,1; w 1936 zaś 7,2; w dalszych latach był jeszcze cokolwiek wyższy.

W roku 1932 na każdych 100 nowych Niemców przybywało u nas 160 Polaków. W roku 1936 natomiast na nowych 100 Polaków przybywało 132 Niemców. Ten niekorzystny dla nas stosunek stale się zwiększał.

Ciekawy jest fakt, że przyrost naturalny w Niemczech zwiększać się zaczął ogromnie od roku 1933, to jest od dojścia Hitlera do władzy. Narodowy socjalizm pojął bowiem znaczenie faktu, zwiększenia przyrostu. Wprowadza się specjalny system premiowania matek z licznym potomstwem, wzorową opiekę nad matką i dzieckiem — co w konsekwencjach przyczynia się do stuprocentowego wzrostu urodzeń.

Jak we wszystkim, tak i tu hitleryzm przeholował. Dążąc do zwiększenia przyrostu, w ustawach regulujących te kwestie, posunął się aż do takich amoralnych absurdów, jak zachęcanie do płodzenia dzieci nieślubnych. Morderca Himmler ogłosił, że będzie sam „ojcem chrzestnym" każdego dziecka o niewiadomym ojcu...

Ten wzrost przyrostu ludności w Niemczech, troska o zagadnienie populacji, szczególnie w porównaniu ze stanem obecnym u nas, jest poważnym ostrzeżeniem na przyszłość.

Czym większy przyrost naturalny, czym więcej dzieci — tym większy, mocniejszy i potężniejszy będzie naród. Zagadnienie populacji jest zagadnieniem naszej przyszłości, jest decydujące w powodzeniu dążenia naszego do Wielkości.

Paukszta Eugeniusz

Dzieci Zamojszczyzny

(walka o dziecko)

Zofia i Anna pracują. Isia harcerka pisze na maszynie. Zofia dyktuje: „I nie tylko nienawiść sieje śmierć i zagładę, gdyż daleko groźniejszym wrogiem życia jest samolubstwo. Samolubstwo to wróg ukryty, zamaskowany, nieznany; to skrytobójca, zakradający się wszędzie pod miłymi pozorami, poufały doradca, przyjaciel domu, morderca dzieci, groźny, wyniszczający rodzinę, truciciel, zwiastun pustki, rozpaczy i śmierci.

Anna: Oj, oj, Zosiu czy nie za dużo? Czy nie myślisz, że trochę przeholowałaś? Przepraszam, że ci przerywam, ale i tak już godzina 4, musisz zwolnić Isię, a my się trochę pokłócimy, bo ja wezmę w obronę biedne samolubstwo. Ostatecznie wszyscy jesteśmy mniej więcej samolubni, ale to jeszcze daleko od mordowania dzieci, albo niszczenia życia i rodzin. Kto wie, czy nieco samolubstwa nie stanowi nawet pewnej ochronnej zbroi i czy nie jest źródłem czysto naturalnej tężyzny.

Zofia: Dobrze. Przyjmuję wyzwanie. I postaram się wykazać morderczą rolę samolubstwa jakimś żywym przykładem. Isiu, posłuchaj, bo cię to zainteresuje.

Isia: Już. Słucham z zapałem. Co ciocia opowie? Czy to coś będzie starego, czy też z noszych „moderne" czasów?

Zofia: Bardzo „moderne" i bardzo warszawskie. Opowiem coś o obie pamiętacie z przed kilku lat. Przypominacie sobie naszą akcję ratowania dzieci z Zamojszczyzny? Ty sama, Isiu, z gorącą zupą, stałaś na dworcu Wschodnim pół dnia i wróciłaś razem z zupą przemarzła do kości; bo okazało się, że dzieci przejechały w zaplombowanych wagonach i że ich nie wyładowano w Warszawie.

Isia: Oj, dobrze to pamiętam, bo dotąd mam odmrożenia na nogach, nabyte chwalebnie nie tyle z bronią, ile z rondlem w ręku.

Zofia: Były to dnie szczególniejszego uczuciowego napięcia w Warszawie. Wysiedlano Zamojszczyznę systematycznie i twardo. Dzieci o niebieskich oczach i płowych włosach wywożono do Niemiec, jako „stam-deutsche" i rozdawano rodzinom niemieckim. Inne wyrzucano na różnych punktach dalekiej prowincji. Warszawę omijano starannie, wiedząc o poruszeniu, proteście, rozpaczy, którymi serca nasze zabiły. Warszawa, ta spontaniczna Warszawa, stolica nasza, serce Polski, odpowiedziała bólem na ból ziemi zamojskiej, oburzeniem i protestem. Oczekiwano rozruchów. Na dworcach tłumy, rozpędzane, gromadziły się opodal na nowo. Warszawa ogarnęła miłością pociągi zaplombowane, tajemnicze, pociągi widma, pełne niebieskookich nordyckich „stamdeutschów", głodnych, spłakanych, przemarzłych, wtulonych w siebie bezradnie; sinych z zimna i płaczu.

Groźne milczenie, zacięta nieustępliwość, były jedyną odpowiedzią na brutalne próby rozpędzenia warszawskich kobiet.

Wtedy to, do Czerwonego Krzyża zaczęły się zgłaszać osoby, pragnące przygarnąć te dzieci, wychować, adoptować. Podania o dzieci napływały w ogromnej izbie. Tkliwe, rozżalone uczucie, miłosierna hojność, ogarniały warszawskie

serca falą. Fala wzbierała. Powstało napięcie uczucia, podobne do psychozy. Dzieci. Gdzie są dzieci? Chcemy im pomagać — chcemy je wziąć do siebie, ratować: „ja wychowam jedno czteroletnie, bo moja Janka ma 4 lata“. „Ja chcę siedmioletniego chłopczyka do Józia, będzie sam raz pasował, a ubrankami się podzielą“. „Ja chcę parkę, wszystko jedno jakie, byle było rodzeństwo, swoich nie mam — niech się chowają“.

A dzieci się nie zjawiały. Coraz nowe, groźne wieści przychodziły: że dzieci chore, półnagie, wyrzucono w okolicy Dęblina. Były osoby, które zabierały walizkę z ubrankami, jechały autem i porywały z obozu dziecko w koszulinie, adoptując je. Ale to było trudne do przeprowadzenia; dla większości przybranych rodziców niemożliwe było zdobycie dzieci, starannie ukrywanych na głuchej prowincji. W tym to czasie, w epoce tej wzruszającej psychozy, znajdowałam się któregoś wieczoru na przyjęciu w domu bardzo zasobnych warszawian. Lubiłam bardzo rodziców i dwóch synów, ale coś mnie mroziło w ich dwudziestoczteroletniej córce, mężatce, Jadzi. Jakieś zamknięcie się, chłodne oddzielenie od spraw społecznych, coś małostkowego wyczuwałam w tej ładnej kobiecie.

Tego wieczoru jednak moja Jadzia była niezwykle poruszona. Prąd miłości, psychoza uczucia do dzieci zamojskich, dotknęła ją i ożywiła rumieńcem obojętną twarzyczkę.

Wielokrotnie próbowałam już poruszyć, zainteresować czymś głębszym Jadzię. Tym razem było to już zrobione Ożywiona, mówiła o palącej wszystkie serca sprawie dzieci. Wywiązała się między nami rozmowa, w której wreszcie poznałam jej tajemnicę.

Ja: Jakżeż piękne chwile przeżyła Warszawa! Ileż dowodów serca u nieraz biednych i pozornie samolubnych osób. Po prostu ludzie się przemieniają. Znam żonę dozorcy, która chce wziąć dziecko i chować za swoje.

Jadzia: Panią to dziwi? To obowiązek wszystkich. Ja sama gotowam wziąć dwoje dzieci, a nawet już się o nie podałam.

Ja: Pani!? Pani Jadziu, a przecież niedawno mówiła mi pani, że nie może pani myśleć o dzieciach swoich, bo nie macie jeszcze na to odpowiednich warunków

Jadzia: Pewno, że nie mamy warunków na swoje dzieci, ale takie biedne sieroty możemy wziąć do siebie; będą mieszkać w kuchence — my w pokoju obok, drzwi będą otwarte. Będzie im tam ciepło, a jak Edek wyjdzie do zajęcia, to mogą po całym mieszkaniu biegać.

Ja: Ależ pani Jadziu, przecież pani mówiła, że póki się nie urządzicie, nie możecie mieć dzieci. A teraz dla obcych dzieci pani wszystko już obmyśliła tak praktycznie? Naprawdę, weźmie pani te dzieci?

Jadzia: Oczywiście! i napewno będzie im dobrze; już ja się o to postaram, żeby im niczego nie brakowało.

Ja: To ślicznie, pani Jadziu, to naprawdę ślicznie. Ale — dlaczego pani może się zająć obcymi dziećmi w warunkach, w których pani się własnych wyrzeka?

Jadzia spochmurniała. Niskie, ograniczone czoło zmarszczyła w wysiłku. W końcu, przyciśnięta, niechętnie bąknęła: Swoje, to co innego — na moje własne dzieci nie mam jeszcze warunków.

Ja: A na obce pani ma! Dlaczego? Dlaczego pani odmawia swoim dzieciom tego, co pani gotowa dać obcym, biednym dzieciom?

Jadzia z wybuchem: [illegible]eż to zrozumiałe! Dla biednych dzieci będzie to ratunek i wszystko, co dostaną, będzie bardzo dużo, wobec obozu i nędzy, z których je wyratuję. Będą miały jedzenie zdrowe, ciepło, czyste choć skromne ubranka. No, tyle, na ile nas stać.

Ja: A własnym dzieciom nie chce pani nic dać?

Jadzia z irytacją: Jak pani nie może zrozumieć. Własne dzieci. Własnym dzieciom ja muszę dać zupełnie co innego: warunki życia dostatnie, porządny pokój dziecinny, wyprawkę elegancką jedzenie najlepsze. Muszę mieć do tego służącą, przecież sama nie podołam wszystkiemu. Dzieci nasze muszą mieć wszystko „pierwsza klasa“, a na to nas jeszcze nie stać.

Rozmowa nasza nic nie wyjaśniła. Jadzia nie mogła zrozumieć, że jej dobre serce żyło w kręgu zbrodniczego zakłamania. Gotowa ratować życie obcych dzieci, gotowa dać im wszystko, co miała, jednocześnie odmawiała własnym dzieciom największego dobra. Zamykała święte źródło życia, własność Bożą i tych istot, żyjących w planie Bożym. Odmawiała zwiastującemu jej wezwaniu, odmawiała najszczytniejszej współpracy, wezwaniu Boga, który oczekuje pomocy matki, aby nowe życie stworzyć.

Bo też te swoje wyśnione mary — dzieci kochała uczuciem nieistotnym, sercem samolubnym i niedorozwiniętym. W dzieciach swoich nie chciała widzieć ludzi nowych, dzieci Bożych, gości z nieba. Jej dzieci-upiory, wysnute z egoistycznych marzeń, miały stanowić dopełnienie drobnomieszczańskich ambicyj i pojęć o fasonie życia. Tylko takie dzieci ją interesowały: eleganckie, reprezentacyjne, dzieci-lalki, kosztowne, ozdobne lalki. A na to jeszcze, nie mogła sobie pozwolić.

O biedna Jadziu! Czy ciągle jeszcze czekasz na dobrą sytuację, na komfortowe mieszkanie? O Jadziu! Dlaczego nie zaufasz Bogu, dlaczego nie chcesz przyjąć do twego małego mieszkanka, tych dzieci — które ci zechce dać Bóg i kiedy ci je zechce dać?! Czy długo jeszcze — biedna Jadziu — będziesz powtarzała te słowa stereotypowe i zbrodnicze: „Nie możemy sobie jeszcze pozwolić na dzieci“. Uważaj. Bo może przyjść chwila, w której z nieutulonym żalem powiesz...

Anna: Już wiem, co powie niedługo twoja biedna, samolubna Jadzia: powie to, co tyle eleganckich kobiet musiało powiedzieć z rozpaczą na jeszcze ładnych twarzach: „Już nie możemy mieć dzieci“.

Zofia Trzcińska Kamińska

Andrzej Jar-Górecki

Celestynów

„Nie zdążysz. Mówię ci, już nie zdążysz!“

Stali naprzeciw siebie. Kapelusz Andrzeja, zrzucony z czoła, malował jego wzburzenie. Kajtek był pochmurny. Z uporem obracał głową i powtarzał: „Nie!“. Wreszcie machnął ręką i odszedł długimi krokami człowieka, który wierzy, że musi tak zrobić. To wszystko przez ten pioruński pośpiech! Alarmówka podrzuciła wiadomość kilka godzin przed robotą. Kolejówki są zawsze zwariowane. Czyż oni myślą, że to koszary z paradą, sztandarem i orkiestrą? Mamie synki! Tak było i dzisiaj. Tyle roboty! Wszystko naraz. Człowiek ma potem fale w głowie. Dlatego zapomniał. Ryngraf Matki Boskiej miał już uświęcone miejsce w lewej kieszeni jego wiatrówki. W sercu i w każdym zwoju mózgu, w swej woli nawet posłuszny był instynktowi. Wiara tkwiła w nim głęboko i silnie. Przyśpieszył jeszcze kroku...

Włodek był jeszcze wyższy od Kajtka i, o ile to wogóle możliwe, czarniejszy. Drapieżność twarzy i dzikość oczu niezawsze nawet łagodził uśmiech.

Siedział na skraju łóżka mechanicznie przesypywał dziewiątki z ręki do ręki. Obok leżało kilka pustych magazynów. Uporczywe, posępne myśli i dzisiaj opadły na niego. Wpijały mu się w mózg i snuły po świadomości natrętne, a mgliste. To dziwne. Od pewnego czasu jakiś niezrozumiały, tajemniczy głos ostrzegał go przed czymś, co nieuchronnie nastąpić miało. Właściwie to zaczęło się od tego słynnego, ostatniego Sylwestra, na którym był i Sęk. Głupi był ten kawał z kapeluszem starego i taki niesmaczny. Ale najważniejsze, że właśnie w pierwszych godzinach tego nowego, a może ostatniego jego roku... Zresztą — powiedział zaraz Myszce: „Zobaczysz, maj będzie decydujący. Jak go przeżyję...“.

Drrrń! Drrrń! Ocknął się jakby z długiego, koszmarnego snu. Czarna skrzynka telefonu patrzyła na niego dziesiątkiem okrągłych oczu. Powoli, ciężko podniósł się.

Samochody goniły się po szosie. Byle prędzej! Chłopcy przecierali jeszcze broń, ładowali magazynki i sprzeczali się o jajka. Każdy chciał mieć angielską uderzeniówkę. Nęciła czarnym jedwabiem z czerwoną główką, miękkością w dotyku — podniebną krasą swego przybycia. Tadeusz ku uciesze reszty znów przesunął się na bok. Chłopcy mu docinali — aby mniej cierpiał. Że też musiał usiąść na tych kolcach!

Z daleka ukazały się semafory Celestynowa. Maciek z poważną miną ostrzegł: „Klamoty zamelinować, żeby nic niepotrzebnego nie wystawało. I bez drak! Bo będzie chryja jak u Cioci“. To była znana awantura. No, ale to już całkiem inna historia, jakby powiedział Kipling.

Kapitana jeszcze nie było. Chłopcy powoli rozeszli się po stacji. Każdy na swoje miejsce. „Jerzyki“ uplasowali się nieco dalej, z boku. Piątka Sęka usiadła w rowie w pobliżu semafora. Stamtąd mieli najbliżej do swego celu. Samochody zjechały z szosy, z dala od stacji. Właściwie to już wszystko było gotowe.

Staś drobnym krokiem poszedł do bufetu po papierosy. Jak się okazało, zawcześnie. Takowy jeszcze tu nie istniał. Wyżebrał więc pół paczki machorkowych od Słonia i z zainteresowaniem godnym lepszej sprawy przeczytał od góry do dołu rozkład. Pociągów na stacji zatrzymywało się niewiele. Ten, który go interesował, wogóle nie był w spisie. Szkoda. Chciał go na dzisiaj wykreślić. Znudzony wracał pod semafor.

Noc była ciepła i jasna. Majowa. Głęboki szafir nieba migotał srebrem gwiazd. Stalowe linie szyn ginęły w dali nasypu. Znów nadchodził pociąg, skandując ciszę nocną rytmem swych kół i oddechem pary. Staś ześlizgnął się z nasypu. Miękko opadł w trawę.

Dym z papierosa wił się ku górze czysty i prosty. Jak jego życie. Przymknął powieki. Wsłuchał się w dalekie już echa pociągu i głos swych wspomnień. Zdawało się, że to było wczoraj...

Gorączkowe życie Londynu, darte eksplozją bomb i codzienną sensacją dzienników. Niebo pełne ryku motorów i ziemia jęcząca od grzmotu wybuchów. A w sercu pustka i gorycz... Potem wygodne bunkry Szkocji, tak bardzo raniące ich każdym szczegółem swego komfortu. Szum morza spotęgował obcość i wydłużył jeszcze odległość tęsknoty. Tam daleko, w samym środku tego wiecznie burzliwego lądu ugrzązł najdroższy szmat ziemi. W tę stronę biegły ich spojrzenia i myśli. Wyspiarze nie znali ich i nie rozumieli. Dopiero epopea orłów z 303 i heroizm górskich oddziałów Narvicku poczęły tworzyć tę legendę. Legenda urastała w historię szczegółową i pełną. Jak ich życia i śmierci. Wypełnił się nią całkowicie i bez reszty sens tych kilku liter na rękawach ich bluz. „Poland“ — stał się symbolem i rzeczywistością. Piękną i zdumiewającą jak honor i wierność tego nieznanego dotąd sprzymierzeńca. Nie upajały ich jednak rzędy barwnych baretek, obcych odznaczeń, wyróżnienia i zaszczyty. Dominował niepokój serca. Głuchy a stały. To nie był zwykły spleen, który można było utopić w kolorowym coctailu Carltonu lub Ritza. Kobiety wysmukłe i jasne były tylko nieudolnym rezonansem ich pragnień. Wszystko przypominało Kraj. Nawet ta ciągle słyszana Tipperery tkała się stale bielą ich osamotnienia i czerwienią ich miłości. Aż wreszcie przyszedł ten mglisty, pochmurny ranek, rozświetlony nagle tak dawno oczekiwanym rozkazem. I najradośniejsza chwila tych długich, trzech lat — dopinanie klamer spadochronu. Tęsknota za Polską, potężniejsza nad wszystko przygnała ich tutaj z powrotem. Radosnych i ofiarnych dla Niej.

Mocno wciągnął nozdrzami powietrze. Pachniało żywicą sosen i młodym mchem. Z drugiej strony toru doleciał go głos Mietka. Kapitan raz jeszcze tłumaczył Andrzejowi zadanie. Pociąg jest spodziewany lada chwila. Staś przeszedł tor.

Broń matowo oksydowała w dłoniach chłopców. Chłodziła i uspakajała. Najcięższe jest to wyczekiwanie. Ślepota i bezkształt losu wyolbrzymia znaczenie przypadku.

No! Kolorowe ramię semafora opadło w dół. Tor jest zamknięty. Wszyscy nadsłuchują długo. Nic. Na stacji zupełna cisza. Odbyło się bez niepotrzebnej rąbanki.

I nagle spokój nocy rozdarł daleki sygnał pociągu. Jeden, drugi, trzeci. Podwójne ślepia lokomotywy rozbłysły w dali. Podejrzliwe i wrogie. Skrzyp tartych kół i chrzęst cofanych buforów stworzyły makabryczną kakafonię zgrzytu i jazgotu. Pociąg powoli hamował. Potężna bryła maszyny goniła swym czarnym cielskiem krótki odblask szyn. Długi sznur wagonów chwiał się i kołysał w wydłużonych cieniach nasypu. Świdrujący gwizd wyrzucił w górę pióropusz pary. Pociąg stał.

Geniec wspiął się po schodkach. W dymie i mgle wnętrza, rozjaśnionej czeluścią paleniska spojrzały na niego dwie pary oczu. Pytające i już trwożliwe. „Hände hoch! Raus!“. Ułamki sekund wahania oceniły wartość życia. Dwie postacie z uniesionymi szczudłami rąk powoli zsunęły się z góry. „Nieder!“. — Poparte gestem Colta rzuciło je na ziemię. Staś, Włodek i Andrzej posunęli się wzdłuż pociągu...

Tadeusz odnalazł ją pierwszy. Ukrytą w środku składu. Była masywna, krótsza od innych pullmanów, no i wszędzie te kraty... Więźniarka. A jednak dobrze czuwali. Strzał padł znienacka. Bliski i ostrzegawczy. Był jak sygnał.

Ostry gwizdek kapitana zwolnił stężałe mięśnie i napięte struny nerwów. Kępki krzaków za ślepym torem zakwitły błyskami. Ukryty koło pryzmy kamieni Brann Wiktora zagdakał długą serią. Kule klasknęły o ściany wagonów. Słychać brzęk tłuczonych szyb i pierwsze jęki. Grupa Maćka rzuciła się wprzód. W bladej poświacie księżyca postacie chłopców wyrastały z mroku tajemnicze i groźne. Więźniarka zamigotoła wszystkimi otworami. Ogień szkopów gorączkowy i nieprzebrany osaczył ich i oplótł sznurami swych pocisków.

Źle. Janusz, Gruby i Albin są ranni. Gwizdki kapitana zatrzymują atak.

Błyskawiczna decyzja. Przedział służbowy więźniarki zniszczyć granatami. Maciek zaczyna się czołgać.

Nad głową szumią fale kul. Chłopcy tuląc się do ziemi podsuwają się coraz bliżej. Czarna ściana pociągu migoce coraz żywszymi ognikami strzałów. Steny ubezpieczeń pracują niezmordowanie. Wyrzucony gdzieś od czoła pociągu granat płomieniem wybuchu oświetlił tory i chłopców. I właśnie wtedy...

Biegli gęsiego koło wagonów. Nagle Staś przechylił się wlewo, otarł ramieniem o bok wagonu, przeszedł jeszcze kilka kroków i chyląc się coraz bardziej w przód — upadł. Włodek obejrzał się i jednocześnie dziwnym gestem podniósł ręce do głowy. Szarpnęło nim coś do tyłu, okręcił się w miejscu i jak posąg prosty i wyniosły runął w dół. Andrzej był już przy nich. Włodek miał strzaskaną twarz i już charczał. Z szyi Stasia płynęła cienką nitką krew. Wsiąkała w polski piasek i żwir...

Huk spotężniał i zgęstniał. Ogniste tory pocisków przeplatają się i krzyżują.

Maciek przesunął się pod wagonem. Z tej strony spokojniej. Ostrożnie uniósł się w górę i rozejrzał. Powoli, przylegając plecami do ścian wagonów, podsunął się aż pod samo okno więźniarki. Wyjął dwie uderzeniówki. Nagłym zrywem ramion wrzucił obydwie do środka i wpadł do wagonu.

Błysk i wybuch zlały się w [illegible]. Chłopcy skoczyli pod ściany więźniarki.

Rozdygotany głos błagał i skamlał: „Nicht schissen, nicht schissen...“.

Powoli coś poruszyło się wewnątrz. Zgrzytnęły zasuwy. Drzwi wolno się rozsuwały...

W ciemnym otworze zamajaczyła postać — widmo. Jedna ręka, uniesiona w górę, dźwigała automat. Mundur gestapla był poszarpany. Z twarzy buchała krew. Ciężko opadł na ziemię. Za nim powoli wynurzył się drugi i trzeci. Ostatni wczołgał się w otwór i zamarł. Jęczał i chwiał wzniesioną w górę ręką.

Boże! Twikł w niej Sten. Ktoś nie wytrzymał. Błysnęło. Łeb gestapla poleciał w dół razem z pustą już ręką. Kilka strzałów dopadło ziemi. Gwałtownych i kończących.

Maciek wskoczył w otwór drzwi. [illegible]y nagle z ciemnego kąta posypały się strzały. Rozłupany kant deski nad uc[illegible]m ukłół go ostrzem drzazgi. Nacisnął spust.

Głucho zadudnił przedział. Cisza. Błysk latarki przebił ciemność. Trupy gestapli były dziwnie porozrzucane. Jak czerwone plamy na ścianach i podłodze. Światło przesunęło się w głąb. Są. Z prawej strony wystawały sztaby i rygle. Za chwilę opadły z łoskotem.

„Szybko wychodzić! Jesteście wolni!". Gorączkowo przepychają się do wyjścia. Blade, ziemiste twarze. Ogolone głowy. Sińce. I te rozbiegane, rozszerzone piekłem przeżyć oczy.

Ktoś nerwowo się zaśmiał. Ktoś płacze i dziękuje.

Prędzej, prędzej!

Gwizdek kapitana. Jeden, drugi — kończyć. Ostrożnie wynoszą dwóch rannych więźniów.

Motory samochodów warczą niecierpliwie. Dobiegają do nich grupkami. Krótkie serie Stenów osłaniają ich wycofanie. „Kacap" ma swój komplet. Powoli rusza z miejsca i łagodnym skrętem wjeżdża w jasną taśmę szosy. Oprócz zdrowych, wiezie rannych i tych, którym już nic zaszkodzić nie może.

Wóz nabiera szybkości. Rzadkie, przydrożne drzewa uciekają do tyłu i toną w mroku swych koszmarnych cieni. Przezroczyste mgiełki obłoków rozpływają się w białej tarczy księżyca.

Staś wyszeptał, a właściwie spłynęło to, wionęło z jego warg. „Pamiętaj — rodzina zawsze na ostatnim planie". Oczy miał szeroko otwarte. Nie patrzyły na nikogo. W górze były gwiazdy i niebo. I on już raczej tam zdążał. To było jedyne jego zdanie. Znów był nieprzytomny. Bandaż leciutko jeszcze falował jego oddechem. Z czerwonej jego plamy spłynął powoli koral krwi. Andrzej trzymał jego głowę na kolanach.

Samochód tak bardzo huśtał na lubelskiej szosie. Chłopcy palili papierosy.

Cisza kazała myśleć wszystkim...

Andrzej Jan-Górecki

Ostrze na ostrze

NA MARGINESIE CIEKAWEGO ARTYKUŁU

Należy zwrócić uwagę na ciekawy artykuł Konstantego Grzybowskiego, który się niedawno ukazał w „Odrodzeniu". (Sprawy ważne na codzień w numerze z dn. 13.I r. b.). Autor próbuje w sposób odbiegający od obowiązującego dziś schematu publicystycznego zanalizować i ocenić inteligencję polską, jej pochodzenie społeczne, jej poziom dzisiejszy, jej przyszłość. Wygłasza sąd trzeźwy, pozbawiony demagogii i partyjnego szowinizmu. Jeżeli nie głaszcze, a raczej chłosta chwilami nasz „intelektualny" światek — to czyni to bezwątpienia w poczuciu objektywnej potrzeby skończenia z obowiązkowym „byczo jest", nie popadając jednocześnie w obrzydliwe zaplwanie naszej historii.

Historiozoficzne uwagi p. Grzybowskiego budzą jednak pewne, chwilami nawet daleko idące wątpliwości. Na tym, samo przez się niebezpiecznym terenie, wydaje się, że autor porusza się dosyć niepewnie. Czy nie lepiej więc było obyć się bez dygresyj?

Dziwnym przeskokiem przechodzi bowiem autor od charakterystyki socjologicznej warstwy inteligenckiej do analizowania roli katolicyzmu w historii polskiej. Wytacza tu zasadniczy zarzut, że „Polska była narzędziem katolicyzmu, że katolicyzm u nas nie służył nigdy celom polskim".

Może istnieć dwojakie zrozumienie religii. Można ją uznać jako wynikające z wrodzonej potrzeby ducha ludzkiego narzędzie wewnętrznego rozwoju przez zbliżanie się i poznawanie Boga. To będzie zrozumienie chrześcijańskie. Można ją rozumiać jako narzędzie panowania nad ludźmi, będzie to zrozumienie materialistyczne, utylitarne. Tak też religię rozumie p. Grzybowski. To też bliższe mu jest bezwątpienia imperium muzułmańskie, bliższe mu jest „kazionne" prawosławie, narzędzie wynaradawiania Polaków, bliższy mu jest protestantyzm, narzędzie władców niemieckich, dzięki któremu wyrósł hitleryzm, niż uniwersalistyczny katolicyzm, który walczył zawsze przeciw wszelkiej predominancji świeckich władców.

Musimy do siebie mówić językiem zrozumiałym. Fakt, że Polska była historycznym narzędziem katolików, jest dla nas najbezwzględniej dodatnim elementem w ocenie przeszłości. Wszyscy papieże byli bezwątpienia ludźmi, wielu z pośród nich władziło, cele doczesne cele wieczne się czasami zeciarały. Nie ma jednak innej instytucji na świecie, któraby mogła się wykazać tak wielkim i tak bezwzględnie altruistycznym dorobkiem, jak papiestwo, jako symbol katolicyzmu. Przez niezrozumienie właściwej roli dziejowej Papiestwa, które centralizując władzę duchową, broniło katolicyzm przed wpływami i zależnością od władców czy ustrojów — w nim właśnie widzi Grzybowski ową „siłę", którym nieszczęśliwym narzędziem miała się stać Polska. Siłą, która w myśl Grzybowskiego miała stać na usługach cesarstwa, z którym Papiestwo było w ciągłym konflikcie o wpływy na Kościoł.

Prostujemy tu więc dwa wnioski. Polska jako narzędzie katolicyzmu nie była niczyim narzędziem politycznym, była natomiast narzędziem wyższej idei, znacznie wyższej od interesów politycznych jakiegokolwiek narodu. Papiestwo zaś, nie będąc niczyim narzędziem politycznym, personifikowało katolicyzm jako władztwo duchowe znacznie bardziej, niż jako państwo kościelne.

Niezrozumienie roli i zadań światowych katolicyzmu, zwężenie ich do roli narzędzia politycznego, odbija się jeszcze mocniej w konkretnych rozważaniach historycznych p. Grzybowskiego. Zaciemnia ocenę zjawisk historycznych, każe je traktować jednoplanowo.

Tak więc Polska nie zawarła w XV w. unii z Czechami z winy intryg katolicyzmu, to samo uniemożliwiło unię z Moskwą w XVI i XVII wieku.

Nie ulega wątpliwości, że unia polsko-czeska byłaby zjawiskiem przełomowym, któreby zmieniło tok dziejów nie tylko Polski lecz i Europy. Jest rzeczą śmieszną jednak nie dostrzegać właściwych przyczyn śmierci tego właściwie nie narodzonego projektu. Poza oczywistą animozją przeciw wyłamywaniu się Czechów ze wspólnoty katolickiej, zasadnicze przyczyny fiaska tego projektu były innej natury. Polska była w wojnie z Krzyżakami, Czechy w walce z Cesarstwem. Czechy spodziewały się pomocy której Polska nie była w stanie jej dać. Sojusz z Husytami pozostawił by Polskę poza nawiasem ówczesnej Europy, gdy nasze poselstwa przy dworze cesarskim i w Rzymie starały się właśnie o interwencję na naszą korzyść. Wreszcie husytyzm był bardziej jeszcze od herezji społecznym ruchem rewolucyjnym, którego Polska nie odczuwała nie dla tego, że u nas panowała „czarna reakcja obszarniczo-klerykalna", lecz dla tego, że ustrój społeczny polski odbiegał zasadniczo od czeskiego. Nie było więc żadnych danych, ani psychologicznych, ani politycznych ani społecznych, by unia polsko-czeska stała się faktem realnym. Poco spłycać zagadnienie?

Jeszcze bardziej prymitywne jest rozumowanie co do stosunków polsko-moskiewskich. Polska i Moskwa były od czasów najdawniejszych dwiema przeciwnymi sobie indywidualnościami politycznymi i kulturalnymi. Począwszy od wieku XVII konflikty stają się coraz to ostrzejsze na tle współrywalizacji o ziemie ruskie i inflanckie. Różnice wyznaniowe tu są tylko wykładnikiem głębokich różnic kulturalnych. Polityka polska była tu jednak znacznie liberalniejsza od Moskiewskiej, dowodem czego istnienie dużej ilości szlachty prawosławnej, dowodem próby porozumienia polsko-kozackiego. Wiele błędów można zanotowac na koncie polskiej polityki wschodniej w tym czasie, wydaje się jednak, że snucie dziś miražów unii polsko-moskiewskiej, to najbardziej utopijne rozwijanie tak dziś krytykowanego naszego „Drank nach Osten". Oczywistą i historycznie stwierdzoną jest ciasnota poglądów Zygmunta III nie tylko zresztą w dziedzinie wyznaniowej. Trzeba jednak przyznać, że fiasko planów zdobycia korony carskiej dla królewicza Władysława jest tylko dowodem mylnych założeń tej inicjatywy. Oddając głos w tej sprawie Wilhelmowi Feldmanowi można tylko zaznaczyć, iż nie może on być w żaden sposób posądzony o jakikolwiek szowinizm narodowy:

„...dość wyniszczyła siłę polską praca kolonizacyjna i kulturalna na Rusi; praca w Rosji byłaby ją może prędko zjadła, i kto wie, czy plemię polskie istniałoby, rozpuszczone w mocniejszym liczebnie żywiole moskiewskim. Nie ma więc czego żałować, że Władysław na ofiarowanym sobie tronie Monomacha nie zasiadł...".

Zastanawiająca jest dziś płytkość sądów historycznych. Skąd ona wynika, czy z nieznajomości historii, czy też z niezrozumienia jej? To drugie jest, niestety, i bardziej prawdopodobne i bardziej niebezpieczne.

(wk)

Listy z Krakowa

Pierwsze śniegi. W rannej mgle białe gałęzie drzew na Plantach kreślą daleką, tajemniczą perspektywę. Potem robi się błoto — i bezbarwny dzień przynosi ze sobą szarą prozę trosk i kłopotów. Wcześnie zapadają zielonawe zmierzchy. Załomy wież i dachów wyłaniają się z nieba, podkreślone śniegiem: jak na grafikach Wyczółkowskiego. Rozbłyskują lampy i wystawy. Śródmieście staje się jakieś weselsze. Przed ciepłymi wnętrzami kin tłumy ludzi. Ogonki z trotuarów — po bilety — rozpryskują się chwilowo w hallu na rojowisko podnieconych jednostek, by w ciemnej sali zmienić się znów w bezimienną, uszeregowaną w rzędach krzeseł, chłonną „publiczność". Nie ma zapewne miasta w Polsce, gdzieby było tyle kin. Cóż to za pole obserwacji dla jakiegoś psychologa zbiorowości...! Dla doświadczeń w dziedzinie najprymitywniejszych reakcji, najmniej ukształconych, najmniej kulturalnych odruchów... Inaczej jest bowiem — choćby w teatrze Człowiek się pośmieje, albo powzrusza — a potem w domu przeczyta sobie recenzję w „Tygodniku", czy w „Odrodzeniu", skoryguje cichaczem to czy owo wrażenie pomyśli. Zawsze teatr — „rozrywka intelektualna". Ale kino? W kinie ujawnia się najpiękniej nietylko bezmyślność, ale i nadzwyczajna — powiedziałbym — tandetność uczuciowa przeciętnego widza. Naprzykład: dość dawno temu szedł „Mayerlink" z Charles Boyer. Kicz, jakich wiele. Zhisteryzowany (ale za to przystojny) Habsburg strzela do głupiej (ale za to ładnej) Veczery. Potem strzela do siebie, ale w międzyczasie znajduje jeszcze okazję, aby wygrać t. zw. „gamę wzruszeń"... Dlaczego to wszystko się stało? Wiadomo: przesądy dynastyczne, miłość, sytuacja bez wyjścia — i tak dalej i tak dalej. Problem jakże od nas daleki — i jakże obojętna psychologia tego pijaczyny. Gdyby przynajmniej film jakoś interesująco zarysował rozdarcie arcyksięcia między religijną wiarę w boskie posłannictwo dynastji — a nowe myśli, które mu podsuwają demokratyczni przyjaciele. Nic z tego. Zwykły sobie prince - charmant, który zżyma się na niewolę (choć przecie pozwalają mu upijać się, aż miło, a tego tylko — zdawałoby się — pragnie). Może i taki był naprawdę. Ale w takim razie, co nas to wszystko obchodzi? I skąd ten rzewny szloch w piersiach pań? W swoim czasie podobnie szlochano nad dolą ordynata Michorowskiego. Potem Magdalena Samozwaniec okropnie to wyśmiała. Więc szlochamy „o oczko wyżej": nad arcyksięciem.

Jednak może to artystyczna wartość filmu tak „bierze" publiczność? Toby było zrozumiałe i właściwe. Ale niestety... Wystarczyło porównać „Mayerling" z idącym jednocześnie francuskim filmem „Jej pierwszy bal", żeby zobaczyć co to jest naprawdę artystyczna wartość filmu. Motyw „Balu" był błahy. Ale chyba wszystko, co film może „wypowiedzieć" w dziedzinie danych konfliktów uczuciowych, wypowiedzieć przyrodzonym sobie językiem: **ruchomym obrazem,** zostało tu powiedziane. Jakież świetne zdjęcia, jak wykorzystana siła sugestii pewnych elementów plastycznych i siła uczuciowa nieoczekiwanych skojarzeń w „nastroju" różnych scen, jaka znakomita gra całego zespołu aktorskiego! Jednak frekwencja była, o ile wiem, nieduża. Za słabo widocznie przyprawiono „Bal" melodramatem. Ha, może to właśnie jest rola filmu: dać upust tym naszym upodobaniom, które nie skanalizowane w tandetne przeżycie melodramatyczne, stałyby się okrutnymi kompleksami.

J. W. W.

Wspomnienie

Do liczby tych, którzy po klęsce naszej armii 1939 r. i ucieczce dowództwa za granicę, nie zwątpili w ostateczne zwycięstwo i natychmiast stanęli w karnych i zorganizowanych szeregach w kraju do budzenia w polskim społeczeństwie ducha oporu i do bezlitosnej walki z okupantem, należał 25-letni porucznik 1 pp. Lg. Kazimierz Batog (Pseud. początkowo Borowski, następnie Bogdan znany w ówczesnych kołach sportowych całego kraju jako kilkakrotny mistrz Armii Polskiej w 5-cio boju nowoczesnym.

Już w lutym 1940 r. jest na stanowisku oficera wyszkoleniowego i zastępuje komendanta dzielnicy robotniczej Wola z ramienia podziemnej organizacji wojskowej P. Z. P. Był to okres mobilizowania kadr, broni i amunicji. W tym okresie jest niejako gospodarzem całej Woli — nie ma bodaj większego ośrodka na Woli, w którymby Borowski nie przeprowadzał szkolenia grup bojowych. Sam ofiarny i koleżeński, jest ulubieńcem przełożonych i podwładnych, łączy w sobie ideał typu bojownika podziemnego z typem wspaniałego oficera wysoko dzierżącego sztandar.

20 maja 1941 r. na skutek zdrady i prowokacji niejakiego Cobla, gestapo jest dobrze poinformowane o kierownikach pracy konspiracyjnej na Woli i organizuje uderzenie dla pochwycenia d-cy Żuka i zastępcy Borowskiego. Od tego czasu Borowski, któremu szczęście tym razem dopisało i przypadkiem uniknął aresztowania, jest poszukiwany przez całą sforę psów gestapowskich. Na własną jednak prośbę pozostaje i nadal pracuje w Warszawie. Zmienia tylko pseudonim na Bogdan i nosi stale broń, by każdej chwili móc stoczyć walkę o życie. Uwięzionego przełożonego i kolegę Żuka nie opuszcza. Nawiązuje łączność z uwięzionym na Pawiaku i razem snują i organizują cały szereg planów ucieczki Żuka, z których ostatni 3 lutego 1942 r. został uwieńczony pomyślnym skutkiem.

Następnie bierze udział w szeregu akcji bojowych, za które został odznaczony orderem Virt. Mil. i Krzyżem Walecznych. Ginie przedwcześnie w walce zbrojnej 18.I.43 r. na ulicach Warszawy. W dniu tym w godzinach wieczornych miał miec spotkanie z niejakim por. Witem na ulicy Wspólnej przy f-mie Mater. Prawdopodobnie na skutek zdrady przy wejściu do bramy domu został zatrzymany przez gestapo. W walce, jaka się wywiązała, zabił 2 esmanów, otrzymując sam lekką ranę i byłby zbiegł, gdyby nie interwencja majora lotnictwa niemieckiego, który na strzały wybiegł z pobliskiego lokalu i oddał strzał do Bogdana ciężko go raniąc. Mistrz armii polskiej ostatnim wysiłkiem jednym celnym strzałem w oko, zabił Niemca, przebiegł kilka kroków, upadł na bruk, by dalej toczyć walkę z ostrzeliwującymi go Niemcami, z których 2 ciężko ranił. Po wystrzelaniu amunicji zginął.

Cześć Jego pamięci.

Żuk-Dobrski, ppłk.

SPROSTOWANIE.

W związku z notatką naszą „K[illegible] głosował za nowym prawem małżeńskim", zamieszczoną w 3(9) n-rze „Dziś i Jutro" z dnia 20 stycznia 1946 r. jesteśmy proszeni o zaznaczenie, że notatka powyższa nie była przesłana oficjalnie przez Sekretariat Generalny Stronnictwa Pracy, ale miała charakter informacji prywatnej.

Sekcja Tłumaczy

Związek Zawodowy Literatów Polskich w Warszawie wznowił działalność powstałej w r. 1937 autonomicznej Sekcji Tłumaczy, mającej na celu obronę moralnych i materialnych interesów tłumaczy, nawiązanie kontaktów z autorami i wydawcami zagranicznymi oraz pracę nad rozwojem i pogłębieniem sztuki przekładowej, nad postawieniem tej ważnej dziedziny piśmiennictwa na jak najwyższym poziomie i w związku z tym odpowiednie szkolenie młodzieży literackiej.

Zawiadamiając o powyższym, Związek Zawodowy Literatów Polskich zwraca się do dawnych członków Sekcji Tłumaczy z prośbą o rejestrację w biurze Związku Zawodowego Literatów Polskich przy al. Jerozolimskich 1, pokój 509 w gmachu Ratusza (B.G.K.) równocześnie zaś podaje do wiadomości członków — kandydatów Związku, iż Sekcja Tłumaczy zamierza w najbliższym czasie uruchomić specjalne studio sztuki przekładowej, którego poszczególne działy będą kierowane przez wybitnych specjalistów. Praca w studio będzie miała charakter eksperymentalno - seminaryjny: przewidziany jest cykl wykładów teoretycznych o sztuce przekładu, szereg ćwiczeń prozą i wierszem na określone tematy, wspólne roztrząsanie tekstów, referaty słuchaczy, dyskusje, konkursy wewnętrzne.

Narazie zostaje uruchomiony dział francuski pod kierownictwem znanego poety i tłumacza, Gabriela Karskiego, laureata PEN/Klubu oraz konkursu przekładów poetyckich Związku Zawodowego Literatow Polskich w roku 1938.

W miarę napływu zgłoszeń, zostaną uruchomione inne działy przede wszystkim rosyjski i angielski.

Wśród książek i wydawnictw

Zbyszko Bednorz — Glossy Śląskie, wydał i tłoczył z okazji pierwszego Święta Narodzenia Pana w wolnej Polsce, roku 1945 **Jan z Bogumina Kuglin** jako ósmy tom swej Biblioteki, oraz jako druk prywatny, niesprzedażny, przeznaczony do wyłącznego użytku autora i typografa. Wydano w Katowicach w nakładzie osiemdziesięciu egzemplarzy, na starym dąbrowickim, czerpanym papierze.

Ten druk niesprzedażny, prawdziwy rarytas wydawniczy, obiekt pożądania bibliofilów tak jak i wszystkie pozycje wydawnicze Jana Kuglina — należy potraktować jako specjalny akt hołdu ze strony Autora i Wydawcy, złożony cudowi powrotu starych Ziem Piastowskich do Polski.

„Niech będzie błogosławiony czas. w którym powstaliśmy Ojczyzną ku Odrze".

„Jesteśmy Ci życiem i śmiercią wierni. Ojczyzno obronna Śląskiem". Patos słów Zbyszko Bednorza zamykający historię Śląska w skrót wymowny, zawiera w sobie uczucie prawie modlitewne, jest wyrażalny największą prostotą sformułowań.

„Nad Wisłą chłopi orali ziemię. Nad Odrą chłopi kopali wał. Nad Sanem pokój sadami kwitł. Nad Bobrem sioła w płomieniu.

Gdzieś na Mazowszu lub Kujawach Polacy kładą w ziemię ziarno.

Gdzieś na Budziszyn rycerze idą i kości w śląską ziemię kładą.

Są jakieś puszcze dostojne ciszą.

Ale na Śląsku lasy jęczą wojną".

Nie należy silić się na oddanie w recenzji treści poezji Bednorza w druku Kuglina wydanej. Trzeba by raczej cytować ją całą, słowo po słowie i wiersz po wierszu, aby odczuć, bo rozumieć tego nie trzeba, ból Śląska, jego cierpienia i jego triumf.

A cóż owe „glossy śląskie", na których jak na kanwie tka Bednorz swój hymn o Śląsku i do Śląska?

Owe podane w druku Kuglina teksty stare: Długosza, Arcb. Swinki, teksty modlitewne Psałterza Floriańskiego i Statutów synodalnych biskupa wrocławskiego Konrada, artykuły z pierwszej ustawy górniczej wydanej po polsku przez Jana Opolczyka w r. 1528, słowa „Kroniki Polsko-Litewsko-Żmudzkiej" Macieja Stryjkowskiego — i teksty nowe: Jakimowicza Semkowskiego, Grodeckiego, Reissa.

Trzeba by „Glossy Śląskie" przedrukowywać słowo po słowie i wiersz po wierszu. Trzeba by je wydać w tysiącach egzemplarzy druku Kuglina. Aby zachwycili się tym drukiem nie tylko bibliofile. Aby tysiące pokonały w sobie niewiarę w polityczną trwałość związku Śląska z Macierzą. Aby wszyscy razem ze Zbyszkiem Bednorzem przeżyli zwycięstwo powrotu Ziem odwiecznie polskich.

„Wstawajcie pokolenia przysypane ziemią od wieków: z najserdeczniejszą miłością tuli was do swego łona wolna Ojczyzna.

Na niebieskiej wstędze Odry — Polonia Restituta".

Documenta Occupationis Teutonicae, t. I, wydawnictwo **Instytutu Zachodniego** pod redakcją **Z. Wojciechowskiego, K. M. Pospieszalskiego i K. osnowskiego,** Poznań, 1945.

„Przekazanie źródeł historycznych potomności jest sprawą świętą" — tak stwierdza w słowie wstępnym do pierwszego tomu „Dokumentów" Komitet Redakcyjny. Wydawnictwo ma za zadanie nie dopuścić, by „choćby cząstkę naszych dziejów pokryła niepamięć". Toteż stawia sobie jako cel przedstawić w kolejnych tomach dokumentowane źródła zbrodni niemieckich, pozostawione przez niemieckiego okupanta w stanie niemal nietkniętym w formie ustaw, poufnych rozporządzeń i okólników, oraz tajnych memoriałów.

I tom „Documenta Occupationis Teutonicae" zawiera Memoriał p. t. „Die Bedeutung des Polen-Problems für Rüstungswirtschaft Oberschlesiens", wydany przez „Oberschlesisches Institut für Wirtschaftsforschnung" (Górnośląski Instytut Badań Gospodarczych). Memoriał opracował Dr. K. M. Pośpieszalski.

W Memoriale tym są zebrane wszystkie wyniki badań niemieckich nad położeniem robotników polskich, głównie z punktu widzenia wydajności pracy. Specjalnie charakterystycznym rysem Memoriału jest zebranie wyniku badań w celu ich przydatności dla niemieckiej gospodarki wojennej. Ciekawymi z punktu widzenia badań nad planowością oficjalnej i świadomej zbrodniczości niemieckiej są te części Memoriału, które omawiają metody, jakie należy stosować względem robotnika polskiego dla zmuszenia go do wydatniejszej i chętniejszej pracy. Dr. K. M. Pośpieszalski w swoim omówieniu „Memoriału" cytuje z jego treści:

„Robotnik Nr. 774 Władysław Tomczyk, który cierpiał na częste ataki słabości, stał się bezczelnym i oświadczył, że w tych warunkach nie może dalej pracować. Żądał podwyższenia racji żywnościowej i wywołał wśród załogi pewien niepokój, tak że gestapo posłało go do obozu koncentracyjnego... Większa część jednak milczy z obawy przed obozem koncentracyjnym i pracuje dalej" (str. 18).

Trzeba stwierdzić z całym naciskiem, że podjęcie przez Instytut Zachodni prac wydawniczych nad dokumentami zbrodni niemieckich stanowi najbardziej cenny wkład nauki polskiej na odcinku głębokich studiów historycznych minionego czasu niewoli.

Dwie pozycje wydawnicze **Instytutu Zachodniego** popularyzujące i uzasadniające konieczność oparcia się o Odrę i Nisę, to:

Marii Kiełczewskiej i Andrzeja Grodka — Odra i Nisa, Najlepsza granica Polski, wydanie II z pięciu mapami, Poznań 1946 oraz

M. Kiełczewskiej, M. Glucka i Z. Kaczmarczyka (pod redakcją **Z. Wojciechowskiego) — O lewy brzeg Odry,** Poznań 1946.

W obu tych pracach zebrano w sposób wyczerpujący wszystkie dowody na istnienie historycznych, politycznych, wojskowych i gospodarczych praw Polski do odzyskanych Ziem Zachodnich. Wysunięcie postulatu konieczności posiadania lewego brzegu Odry („O lewy brzeg Odry") uzasadnienie czym jest Odra dla rozwoju Szczecina, oraz wytłumaczenie, że momenty historyczne, polityczne, geograficzne i gospodarcze całkowicie zbijają możliwy zarzut, że Polska w swych żądaniach granicznych na Zachodzie przekracza swój zasięg etniczny — oto najważniejsze bodaj walory tych dwóch wydawnictw Instytutu Zachodniego.

Dr. Władysław Jan Grabski — Polska nad Nisą, Odrą i Pasłęką, nakładem Autora 1945 r., str. 77 + 1 nl, cena 10 zł.

Wydana za poparciem Ministerstwa Ziem Odzyskanych książka W. J. Grabskiego nie rości pretensji do pracy naukowej. Jest darem serca dla serca polskiego, jak w przedmowie do książki stwierdza Autor.

Potraktujemy ją jeszcze inaczej. Jak propagandę. I jeśli można znaleźć w propagandzie szczerość, jeśli można w niej wyczuć istotną uczciwą prawdę, słowo nie dla taktyki politycznej, zdania nie na wiecowy efekt, sformułowania bez dyktanda — to właśnie taką propagandą jest książka Grabskiego.

Książki nie pisał historyk-naukowiec. Pisał ją człowiek gorącego serca, pisał ją pośpiesznie. Z kart książki wyczuwa się zapał Autora, z kart książki przebija troska, że zbyt wielu jest takich, którzy grzeszą duchową nieobecnością w tym jedynym na przestrzeni wieków czasie, kiedy można, rzeczywiście i realnie można, podźwignąć graniczne słupy Chrobrego.

Książki Grabskiego nie zrozumie i nie odczuje człowiek z już skostniałym sercem. Dziwić się będzie, że wydano ją aż w 50500 egzemplarzach i zapisze tę pozycję wydawniczą.. na konto taniej propagandy Ministerstwa Ziem Odzyskanych. I nie jest winą Grabskiego, że istnieją ludzie tak myślący. Jest jego bezsprzeczną zasługą, że książka swoją potrafił stworzyć podział na kategorie ludzi różnie patrzących na osiągnięcia graniczne na Zachodzie.

Dla kogo „Polska nad Nisą, Odrą i Pasłęka" jest napisana?

Autor miał zamiar napisać ją dla wszystkich. Jeśli nie jest książką dla wszystkich, jeśli wielu odrzuca ją jak makulaturę propagandową — to jest pewność, że rozgrzeje przekonanych, podniesie na duchu wielu przekonanych, lecz w zamęcie czasu niekiedy wątpiących.

Książka Grabskiego jest napisana z temperamentem i z pasją. Nie ma rozdziału, który by był napisany z chłodną rezerwą obiektywnego, uczuciowo i osobiście niezaangażowanego pisarza. I pewnie dlatego książka Grabskiego jest pozycją żywą, pewnie dlatego należy ją polecać wszystkim.

Do książki Grabskiego pragniemy przekonać wszystkich. Toteż z rozdziału mówiącego o moralnych prawach Polski do ziem nad Nisą, Odrą i Pasłęką cytujemy ustęp, który jest odpowiedzią tym, którzy wbrew polskiej racji stanu, podają w wątpliwość prawo Polski do żądania uregulowania historycznego rachunku.

„Który naród ma prawo wystawić nam rachunek niespłaconych krzywd, jakich od Polski doznał?

Czy Ameryka za Kościuszkę i Pułaskiego, za paromilionową rzeszę emigrantów, którzy stali się wiernymi i pracowitymi współbudowniczymi najbogatszej demokracji świata?

Czy Anglia za to, że po okrutnym prześladowcy Swendzie, matka-Polska zrodziła im wielkiego króla Kanuta w XI stuleciu, czy za to, że w XX stuleciu tak mała garstka lotników-Polaków tak walnie przyczyniła się do odparcia najazdu niemieckich skrzydeł na Londyn?

Czy Francja za to, że legiony polskie, pod sztandarami rewolucji i Napoleona, w ufności rozpaczliwej, a tak zawiedzione, do ostatka broniły jej honoru, czy za to, że w 1940 roku żołnierz polski dawał przykład gnuśnym, jak trzeba bronić ziemi nie tylko ojczystej, ale i ziemi sojuszników?

Czy Italia za złoto polskich pielgrzymów do Rzymu, za legiony Dąbrowskiego, za Monte Cassino?

Czy Rosja za Grunwald, za walkę z caratem, za krzewienie przez tysiące zesłańców kultury na Dalekim Wschodzie, za Rokossowskiego, czy za ofiarne walki ze wspólnym wrogiem?

Czy Węgry za matkę Świętego Stefana, za Świętego Władysława, za Jędrzeja Żórawkę, za Warneńczyka, czy za jenerała Bema i Dembińskiego?

Czy Szwecja za Świętosławę-Sigrydę, za dominikanów polskich z XIII wieku, za skarby wywiezione od nas przez Gustawa Adolfa i Karola Gustawa, które po dziś dzień ozdabiają muzea i biblioteki w Upsali i dziesiątku innych miast?

Czy Czechy za to, że Św. Wojciech i jego ród obrał sobie Polskę za ojczyznę, czy za to, że jedynie polskie hufce wspomagały Żyżkę i Prokopa Wielkiego?".

„Wierność, krew i dobrą wolę rzucamy na szalę dziejowego sądu. Żądamy, by cały świat uznał prawo Polski do granic Nisy, Odry, do ziemi Śląskiej, Pomorza i Mazur, do Opola, Wrocławia, Szczecina, Gdańska, by tym uznaniem napiętnował na wieki zbrodnię niemiecką przeciw Słowiańszczyźnie, nagrodził choć częściowo, krzywdę i stwierdził prawa moralne Polski do twórczego i wolnego bytu na prasłowiańskich ziemiach Europy".

J. K.

Instytut Zachodni w Poznaniu, powołany przez Główną Komisję Badania Zbrodni Niemieckich do współpracy, opracowuje zagadnienie niemieckiej polityki narodowościowej na ziemiach polskich. Z tego względu zwraca się Instytut do wszystkich osób, które mogłyby podać interesujące na ten temat szczegóły, o spisanie swoich wrażeń i przesłanie opisu Instytutowi Zachodniemu, Poznań, ul. Chełmońskiego 1.

Chodzi tu głównie o ustalenie metod, którymi Niemcy posługiwali się przy wpisie na niemiecką listę narodową i jak na te metody reagował naród polski. Zabezpieczenie śladów zbrodni niemieckich jest powszechnym, obywatelskim obowiązkiem. Osoby, które nie życzą sobie, by w publikacjach, zawierających naukowe opracowanie tego problemu, przytaczano ich nazwiska, uprasza się, by odnośne życzenia Instytutowi zakomunikowały.

Tygodniowa Kronika Kulturalna

Takiej różnorodności afiszów, jak w ostatnim tygodniu, nie było chyba dotąd w Warszawie. „Cyrulik Sewilski" w operze, „Skiz" z M. Ćwiklińską na Pradze, jubileuszowy recital Zbigniewa Drzewieckiego w Romie, 3 Popularny Koncert Orkiestry Warszawskiej z udziałem Marii Wiłkomirskiej w Teatrze Polskim, recital śpiewaczy Marii Drewniakówny w Szkole im. Kurpińskiego, Wieczór poezji, pieśni i humoru w Romie z udziałem Chmurkowskiej, Kay-Kuczyńskiej, Jakstasa i Szatkowskiego. A więc Warszawa przestaje być kopciuszkiem i zaczyna naprawdę żyć.

Koncert poświęcony twórczości Griega. Program 3-go Popularnego Koncertu symfonicznego pod dyrekcją St. Nawrota, obejmował same utwory Griega, a mianowicie: Uwerturę „Jesienią", koncert fortepianowy a moll i 2 Suity Peer-Gynt (ilustracja muzyczna dramatu Ibsena). Jeżeli chodzi o stronę kasową, koncert udał się znakomicie, nieco gorzej natomiast było ze stroną artystyczną. Orkiestra brzmiała ubogo i nie oddała całego piękna poetyckiej muzyki griegowskiej, opartej na norweskiej muzyce ludowej. Właściwy kompozytorowi koloryt instrumentalny zaginął w niedociągnięciach formalnych. (Mówię przede wszystkim o pierwszej części koncertu). Barwność instrumentacji, oraz dysonansowość harmonii Griega, prekursora nowoczesności, nie uwydatniła się w dostatecznym stopniu. Okrasą koncertu była Maria Wiłkomirska, która z prawdziwą wirtuozerią odegrała koncert Griega. Miękkość uderzenia, niezawodna technika i muzykalność sprawiły, że słuchało się gry Wiłkomirskiej z pełną satysfakcją. Szkoda tylko, że fortepian za mało się wydzielał. Chwilami orkiestra głuszyła go w znacznym stopniu. W ogóle akompaniament pozostawiał wiele do życzenia. Brak precyzji orkiestry raził w porównaniu z precyzją Wiłkomirskiej, która na bis wykonała świetnie Humoreskę Rachmaninowa i Preludium Prokofiewa.

Koncert poprzedzony był prelekcją o życiu i twórczości Griega.

Recital chopinowski Drzewieckiego. Występ Zbigniewa Drzewieckiego zorganizowany przez Instytut Fryderyka Chopina oraz Centr. Biuro Koncertowe w 30-tą rocznicę pierwszego koncertu artysty w Warszawie, odbył się w specyficznej atmosferze uwielbienia dla koncertanta, który już tyle lat szerzy u nas niestrudzenie kulturę muzyczną.

Swój pierwszy recital miał Drzewiecki w Warszawie dnia 2 lutego 1916 r. o godz. 12-ej w sali Filharmonii. Program tego recitalu był mieszany i zawierał utwory Bacha, Beethovena, Brahmsa, Schumanna, Chopina, Wagnera, Lista i Schuberta. Recital w dn. 27 stycznia r. b. poświęcony twórczości Chopina, obejmował: 2 Polonezy — es moll i fis moll, 4 Etudy — cis moll, gis moll, e moll i h moll, Nokturn fis dur, Mazurki gis moll i f moll, Fantazję f moll i Sonatę b moll (z marszem pogrzebowym). Drzewiecki był tego dnia w specjalnie dobrym usposobieniu i wykonał cały program z przejęciem godnym prawdziwego artysty.

Drzewiecki pokazał się od najlepszej strony, interesując w każdym wykonywanym utworze na nowo, jako muzyk w całym tego słowa znaczeniu, wykazujący duże poczucie stylu chopinowskiego. Zwłaszcza „wziął nas" Nokturn fis dur odegrany najbardziej precyzyjnie i ze wzruszającym skupieniem. Artysta zaimponował swoją wytrzymałością fizyczną, gdy po wykonaniu całego programu (z przerwą dopiero po ósmym utworze) tak chętnie bisował jeszcze cztery razy, grając kolejno Nokturn cis moll, nokturn, który mieścił się również w programie recitalu Drzewieckiego przed trzydziestu laty, walc cis moll, Mazurek a moll i Polonez as dur.

Gdy czytamy, że koncert jubileuszowy Drzewieckiego w Krakowie objął aż trzy wielkie utwory z orkiestrą i to tak różnorodne pod względem stylów (koncert Beethovena, Warjacje symfoniczne Francka i IV Symfonię Szymanowskiego), nie możemy oprzeć się uczuciu podziwu dla jubilata, którego cechą najbardziej godną pochwały jest pracowitość. Pracowitość ta przyczyniła się do dużej rozpiętości repertuarowej Drzewieckiego, rozpiętości, której może mu pozazdrościć młode pokolenie naszych pianistów, wykazujących tak mało ambicji, jeżeli chodzi o bogactwo repertuaru.

Wieczór autorski Leona Choromańskiego. Na ostatniej Środzie Literackiej zapoznaliśmy się z trzema nowelami Leona Choromańskiego, autora wydanych przed wojną zbiorów nowel p. t. „Zuzanna", „Złota droga", „Pościg za słońcem", „Głowa na kamieniu"; oraz zbioru poezji „Urna". Odczytane nowele Choromański zaopatrzył w komentarz dotyczący ich tematyki i sensu. Jak to pisarz słusznie zaznaczył, czasy obecne, czasy królującego wszechwładnie reportażu politycznego, nie sprzyjają twórczości artystycznej. Ostatnia wojna przyniosła ze sobą tak wiele, że dla prawdziwego odtworzenia jej trzeba pewnego dystansu, trzeba niezmiernie mozolnej pracy historyka, myśliciela i artysty. Choromański nie kusi się zatym na czerpanie tematów z okresu wojny, lecz sięga do czasów dawniejszych. I dziwnych doprawdy doznawało się wrażeń, słuchając opowiadań, tak oderwanych od naszych tragicznych przeżyć. Naprzód ogarnia pewnego rodzaju zdziwienie, że oto dla kogoś istnieje świat inny, niż ten, w którym obecnie żyjemy. Drugie z kolei uczucie słuchacza było uczuciem zadowolenia, że nareszcie oderwano nas od rzeczywistości tak despotycznie trzymającej w swoich więzach i przekreślającej wszystko to, co było i jest poza wojną. Opowiadania Choromańskiego — choć niepozbawione cech staroświecczyzny — porwały właśnie swą odległą tematyką (czasy cylindrów i karet), oraz pewnego rodzaju fantastycznością. W noweli p. t. „Strzał" autor w słowach zwięzłych i obiektywnych, przypominających chwilami sposób pisania Merimeego, przedstawia los trojga osób, który zawisł od tego, że jedna z tych osób odrzuca kontrolę nad fantazją, z urojenia poetyckiego tworząc rzeczywistość. „Śnię na jawie, a więc jestem niebezpieczny". Nowela „Kareta" zajmuje się przygodą erotyczną, która ma na celu ujawnienie rażącej płytkości kultury obyczajowej i ułomności serc ludzkich. Treścią noweli „Emeryt" jest tragiczny koniec człowieka ogarniętego chorobliwą mizantropią.

Wszystkie trzy nowele niepozbawione są oryginalności, choć wyraźnie opierają się na wzorach klasycznych. Nowela „Kareta" pełna jest francuskiej pikanterii i dowcipu, a „Emeryt" ducha rosyjskiego. (Nowela ta mimowli kojarzy się ze „Śmiercią urzędnika" Czechowa). Jeżeli chodzi o samą konstrukcję nowel, to pewne zastrzeżenia budzi nowela „Kareta", gdzie zbytnio rozbudowana została część środkowa, w której bohater w sytuacji iście zabawnej, daje się unosić literackiej fantazji. Część ta odbija za bardzo od zasadniczej treści. Niesamowitość w noweli „Emeryt", nie mająca zresztą nic wspólnego z patosem czy grozą, lecz zabarwiona raczej dowcipem, jest doskonale utrzymana od początku do końca. Co się najbardziej podoba w Choromańskim, to niewzruszony spokój, z jakim opowiada dzieje swoich bohaterów. Razi tylko pewna staroświecczyzna.

Nadawanie bohaterom śmiesznych nazwisk, jako to: Telesfor Parada-Parski, Anastazy Arcybukiewicz dawno już przebrzmiało. W noweli „Kareta" wyrażenie „biada mi" (podane jako myśl bohatera) nie wydaje się odpowiednie w zestawieniu ze stylem całości dość prostym. Trudna do określenia przestarzałość, wypływająca może z samego tła, uwidacznia się najbardziej w noweli „Strzał".

Wanda Bacewiczówna

P. Stanisław Pietr., Lublin. Ciekawy artykuł Pana przekazujemy Ciechockiemu.

P. Tymoteusz S. Wszystkie trzy wiersze jeszcze nie do druku. Usterki formalne. Zbyt dużo publicystyki — za mało poezji.

P. Janina z W. Kl. Wiersza „Hania" nie zamieścimy.

P. Antonina Pias., Sosnowica. Słuszne uwagi Pani bierzemy do serca. Pragniemy otworzyć dział tygodniowych wiadomości politycznych. Prosimy o cierpliwość i wyrozumiałość. Prenumerata kwartalna wynosi 85 zł.

P. Janina Dan., Kraków. Wiersza „Dom Miłki" nie zamieścimy.

P. A. Dęb. Z wierszy nie skorzystamy.

P. Stanisław Krz., Sokołów Podl. I nam jest bardzo przykro. Na jakość papieru nie mamy wpływu. Zwiększyć druk — to zmniejszyć ilość materiału w numerze. Większość czytelników domaga się jednak raczej zwiększenia ilości materiału. Prosimy więc o wyrozumiałość.

SZEROKI HORYZONT

ZA KULISAMI PROCESU W NORYMBERDZE

Proszę nie myśleć, że wyjawimy tu jakieś nieznane a sensacyjne szczegóły procesu norymberskiego. Historyjka, którą chcielibyśmy tu dziś opowiedzieć, jest może niezbyt sensacyjna, ale zato — naszym zdaniem — bardzo ludzka.

Wiceprokuratorem z ramienia Wielkiej Brytanii jest na procesie norymberskim sir David Maxwell Fyfe, który pozostawił w kraju swą siedmioletnią córeczkę Mirandę. W powodzi pracy, jaka spoczywa na barkach prokuratora, sir Fyfe znajduje jeszcze czas, by pisać bajkę specjalnie dla Mirandy, którą przesyła jej rozdziałami po 1.500 słów każdy, pocztą lotniczą co tydzień.

Bajka, zatytułowana „Lalka Życzeń", jest fantastyczną opowieścią o samej Mirandzie i jej przygodach w towarzystwie rówieśniczki Harriet. Treścią tych opowiadań są podróże, jakie bohaterka bajki może przedsięwziąć w czasie i przestrzeni, stanąwszy jedynie na wielkim, niebiesko - białym półmisku, z lalką — „lalką życzeń" w ramionach. W ten sposób mała Miranda była już w Norymberdze na wyspie Wight, a także w Szkocji, gdzie brała udział w obchodzie siódmej rocznicy urodzin swej... pra-prababki.

Cała ta sprawa ma jednak pewne ciemne strony. Przede wszystkim sir Fyfe, który ma do przeczytania około ćwierć miliona dokumentów, nie może podołać równocześnie ze swymi bajkami dla swej córki, ograniczając się ostatnio do pisania jednego rozdziału co dwa tygodnie. Niema się czemu dziwić — przecież chodzi o ukaranie tych, dzięki którym miliony dzieci w Europie już nigdy nie usłyszą żadnych bajek, którzy usiłowali urzeczywistnić najbardziej bzdurne i okrutne z opowieści, jakie mogła stworzyć chora wyobraźnia.

Nieszczęście w znacznie mniejszej skali polega na tym, że w domu rodzinnym Mirandy znajduje się rzeczywiście niebiesko-biały półmisek i że mała chce koniecznie wypróbować prawdziwości tatusia pomysłów...

KANADA KIPIĄCA OBURZENIEM

Społeczeństwo kanadyjskie nie tai swego oburzenia wobec ułaskawienia jednego z wielkich przestępców wojennych — generała - majora Waffen — SS Kurta Meyera, który za swe zbrodnie odpowiadał przed Trybunałem Wojennym Kanadyjskim, został skazany na śmierć i następnie ułaskawiony — wyrok zmieniono na dożywotnie więzienie.

Okoliczności tego procesu, który odbywał się w Aurich koło Emden, są u nas niebardzo znane, tak, że warto je będzie przypomnieć dla lepszego zobrazowania sławnych wyczynów bohaterskiej armii niemieckiej.

Śledztwo trwało 15 miesięcy, a akt oskarżenia zawierał 8.000 słów. Prokurator oskarżał Meyera o to, że wydał podległym sobie wojskom rozkaz nie brania jeńców, na skutek czego żołdactwo jego zamordowało skwapliwie 48 Kanadyjczyków, którzy po zaciętych walkach dostali się do niewoli pod Caen. Niemiec wypierał się stanowczo, twierdząc, że nie jest winien i że nie popełnił żadnego z zarzucanych mu przestępstw. Kanadyjski Trybunał Wojenny przesłuchał w ciągu siedmiodniowej rozprawy kilkudziesięciu świadków, zarówno z pośród byłych jeńców Kanadyjczyków, jak i francuskich cywilów, którzy asystowali przy mordowaniu schwytanych żołnierzy.

Rewelacją były jednak zeznania 19-letniego Polaka, Jana Jesionka, który został zmuszony przez Niemców do służby w Wehrmachcie i który na rozprawie pogrążył Meyera ostatecznie.

Jak wynika z jego zeznania, które zrobiło na Trybunale wstrząsające wrażenie, pewnego czerwcowego dnia, generał Meyer rozbił namioty swej kwatery w opactwie Ardenne, kiedy doniesiono mu, że podczas wypadu w teren, udało się wziąć do niewoli siedmiu Kanadyjczyków. Wtedy generał Meyer dostał napadu złości: „Ci dranie zeżerają nam nasze zapasy żywności". Zaraz potem, kiedy Jesionek mył się na dziedzińcu nieopodal sztabu, zobaczył, jak tych siedmiu jeńców wyprowadzono ze stajni, gdzie ich trzymano, do parku opactwa i tam SS-Mann zastrzelił ich z pistoletu maszynowego.

Kiedy Jesionek zakończył swe zeznanie, Kurt Meyer poprawił na sobie starannie swój nienagannie skrojony mundur, powstał i oświadczył, że o zamordowaniu jeńców kanadyjskich dowiedział się dopiero po trzech dniach i „...był tą zbrodnią głęboko przejęty".

Po rozprawie obecna przez cały czas rozprawy na sali żona zbrodniarza, powiedziała dziennikarzom, że jej mąż jest zupełnie niewinny, jak też, że jest on wzorowym ojcem rodziny.

Dla nas jedno jest w tej całej sprawie ciekawe: zbrodnia Meyera blednie na tle naszej codziennej, okupacyjnej rzeczywistości na przestrzeni tych lat, które mamy za sobą; kulturalni mieszkańcy dalekiej Kanady uważają ją jednak za szczyt wszelkiego zła i nie może im się w głowie pomieścić, że — jeżeli parafrazujemy własne słowa Meyera — będzie on do końca swego niesławnego żywota zeżerał kanadyjskie racje żywnościowe, zamiast odrazu zawisnąć na sznurze z prawdziwych, kanadyjskich konopi.

Redakcja zwraca się do osoby, która w październiku 1944 odebrała część prac Włodzimierza Pietrzaka z konspiracyjnego mieszkania w Leśnej Podkowie, nie podając swych personaliów, aby zechciała dostarczyć przejęte materiały do redakcji „Dziś i jutro", w celu przekazania ich Matce Poległego.

P. Zych Przybyszewski z Krakowa proszony jest o zgłoszenie się do red. Kętrzyńskiego, w krakowskiej filii red. „Dziś i Jutro".

Ktokolwiek wie o szczegółach śmierci Zdzisława Piaseckiego (Stawińskiego) z grupy „Radosław", oddział „Mieczyki", zmarłego 7.VIII.44, rannego na terenie szpitala im. Karola i Marii, potem przewiezionego do szpitala Jana Bożego — proszony jest o zgłoszenie się do redakcji.

KATECHIZM

Najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży (36 str., wydanie z 1945 r., rachunek sumienia, ministrantura, różaniec — cena 10 zł.) wysyła w paczkach za pobraniem lub po wpłaceniu na P. K. O. Nr konta w Łodzi VII — 608: **ks. dr. Win. Helenowski, Gostynin, woj. Warszawskie.**

ZAWIADOMIENIE

Rodzina Wacława Bojarskiego, poety, poległego w roku 1943, prosi wszystkich będących w posiadaniu Jego utworów lub materiałów o Nim o nadsyłanie ich na adres Redakcji „Dziś i Jutro", w celu przekazania ich Rodzinie. Rodzina Poety (Warszawa, ul. Bednarska 23 m. 30) zastrzega wszelkie prawa autorskie.

TAK JAK WTEDY...

Możemy się dziś podzielić z naszymi Czytelnikami radosną wieścią: powstała nowa religia. Ponieważ stało się to pod upalnym niebem Brazylii i wielu z nas nie mogłoby wskutek oddalenia poznać dość szybko jej błogosławionych dogmatów, musimy zapoznać szeroki ogół z jej zasadami i twórcą.

Oficjalna nazwa tego wyznania brzmi: Kościół Chrześcijańsko - Naukowy. Założycielem jego jest pan Joao de Minas, który przybrał imię „Mahatma Patiala" pod którym występuje wobec wiernych. Jego apostolski sztab generalny, działający stale w Sao Paulo, zwołuje obecnie wszystkich adeptów do tej stolicy kawy. Miejsce wybrane wyjątkowo szczęśliwie, bo wierni będą sobie mogli przesiadywać nie przy naszej skromnej „pół-czarnej" ale przy całych kubełkach wspaniałej kawy. Oczywiście — tylko w czasie wolnym od zajęć (po ćwiczeniach — że użyjemy stylu wojskowego), gdyż przecież będą zajęci kontemplacją i studiowaniem „Kodeksu Bożego", który obiecujący Mahatma stworzył w „...natchnieniu ducha światła boskiej wiedzy".

Nadzwyczajnie ciekawe są przykazania nowej religii. Brak miejsca nie pozwala nam na obszerniejsze ich potraktowanie, powiemy tylko, że według niej wolno człowiekowi zamożnemu żenić się siedem razy (Mahatma, uwaga! — autorem tego pomysłu jest Sinobrody), pod tym jedynie warunkiem, że małżonki muszą być narodowości brazylijskiej, ubogie i cnotliwe.

Doniesienia, z których czerpiemy tę wiadomość, nie stwierdzają, niestety, czy wszystkie te warunki są skrupulatnie przestrzegane, ale nadmieniają, iż „Kodeks Boży" przewiduje, że „...porzucone małżonki znajdą pocieszenie w boskiej wiedzy — drodze ku prawdziwemu szczęściu".

Jak dotąd, nowa religia liczy 60.000 wyznawców. Upojony tym dobrze prosperującym przedsięwzięciem Joao de Minas — w godzinach biurowych Mahatma Patiala — planuje również założenie nowej partii politycznej — „partii naukowego komunizmu".

Jeżeli wy się z tego śmiejecie, to mimo wszystko, mnie się to nie podoba. Tak samo śmiano się z neopogaństwa, które zrodziło się przed ćwierćwieczem w knajpach bawarskich, by trafiwszy na podatny grunt, ruszyć na podbój świata. Argumenty były bardzo przekonywujące — Stuka. Panther. Tiger. U-boote i Zyklon. A zaczęło się tylko od „Mein Kampf"...

JAK TO BYŁO Z „TYGRYSEM"?

Między innymi troskliwie strzeżonymi sekretami wojennymi, które obecnie wychodzą na jaw, ciekawe są dzieje słynnego niemieckiego czołgu typu „Tygrys". Oto garść szczegółów, podanych przez Chestera Wilmot w jednej z audycji, nadanych przez brytyjskie radio:

„Tygrys" był ukochanym dziecięciem pomysłowości technicznej Hitlera, który marzył o stworzeniu czołgu, absolutnie odpornego na ostrzeliwanie. Znana fabryka „Henschel" otrzymała polecenie wybudowania czołgu siedemdziesięciotonowego, do którego jednak — naskutek braku czasu — wbudowano motor, przeznaczony uprzednio dla innego, znacznie lżejszego (czterdzieści pięć ton) typu czołgu „Panther".

W rezultacie tego eksperymentu, pancerne wojska niemieckie postradały więcej czołgów naskutek zdezelowania zbyt słabych motorów „Tygrysa", niż od walki w polu. Najcięższe jednak straty poniósł niemiecki potencjał wojenny na głębokim zapleczu — podczas ciężkich nalotów, których znaczenie było przeważnie tu u nas, w Polsce, zupełnie niedoceniane.

Najlepszym przykładem są wspomniane już zakłady „Henschel" w Kassel, które we wrześniu 1943 roku wypuszczały miesięcznie 115 czołgów i 80 lokomotyw. W październiku tego roku Royal Air Force dokonała dwóch nocnych nalotów na Kassel, z których jeden starł śródmieście z powierzchni ziemi w ciągu półtorej godziny. Same zakłady, produkujące „Tygrysa", ucierpiały jedynie pośrednio: z powodu całkowitej dezorganizacji dostaw, energii i siły roboczej, zamiast 115 „Tygrysów" opuściło fabrykę w październiku jedynie 67.

Po tych ciężkich nalotach, Kassel nie było celem poważniejszych ataków na przestrzeni około jednego roku, w którym coprawda udało się Henschel'owi postawić na nogi swą produkcją, ale nie osiągnęła ona zamierzonych rozmiarów. Na początku 1944 roku produkowano już 110 „Tygrysów" miesięcznie, ale było to o wiele za mało, by pokryć straty na froncie wschodnim i włoskim. Jako tako poziom został wyrównany we wrześniu tegoż roku, kiedy front na zachodzie ustabilizował się na linii Zygfryda, ale jednocześnie w tym miesiącu Amerykanie rozpoczęli swe dzienne naloty na ten rejon, dla ostatecznego przekreślenia dostaw niemieckich czołgów na front.

Ten ostatni rozdział wojennych przygód zakładów Henschel'a był krótki i dramatyczny. Najpierw sześć nalotów dziennych w ciągu szesnastu dni, a w końcu — ósmego października wyjątkowo precyzyjne bombardowanie z niskiego pułapu. W rezultacie tej akcji produkcja „Tygrysów" spadła o osiemdziesiąt procent — z dwudziestu ośmiu tygodniowo do pięciu. W listopadzie zamiast przewidzianych planem stu czterdziestu czołgów, wypuszczono z zakładów „Henschel" jedynie dwadzieścia dwa. Niemieccy fachowcy obliczyli, że te ostatnie naloty amerykańskie pozbawiły Hitlera dwustusiedemdziesięciu czołgów, które mogłyby brać udział w grudniowej ofensywie w Ardennach i kto wie, czy nie przeciągnęłyby znacznie uzyskanie zwycięstwa przez zjednoczone narody. Na sześć tygodni przed kapitulacją Niemiec, „Henschel" zarzucił ostatecznie produkcję czołgów, które miały wywalczyć zwycięstwo dla bezprawia i zbrodni.

Tylko przez zaprenumerowanie Tygodnika „Dziś i Jutro" można sobie zapewnić stałe jego otrzymywanie. Prenumeratę prosimy wpłacać na nasze konto w P. K. O. — Nr I—727.

Przypominamy o wyrównaniu zaległości za prenumeratę pisma.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Janusz Lucjan M., Warszawa. Wiersza „Dzwony zatopionych katedr" drukować nie będziemy.

P. Jerzy Gr., Włochy. Opowiadanie „Wizyta hrabiny..." nie odpowiada nam. „Wspomnienie" posiada wszystkie walory literackie, natomiast potraktowanie tematu raczej banalne. Temat należałoby odczuć głębiej. Proza literacka, to nie tylko ładny i poprawny splot słów.

W-ny Ks. A. W., Sandomierz. Uwagi przekazujemy Dobraczyńskiemu. Bardzo chętnie zamieścilibyśmy list Księdza. Brak nam godła, którym życzyłby sobie Ksiądz list podpisać.

Życzliwy czytelnik. Za cenną uwagę dziękujemy. Prosimy spojrzeć na stronę tytułową.

P. Wanda Koz., Krośnica. Wszystkie trzy wiersze bardzo szlachetne. Forma słaba. Drukować nie możemy.

P. Jan G., Hrubieszów. Należałoby z Panem przedyskutować nadesłany artykuł „Logika życia". Oczywiście nie jego treść i założenia, gdyż te są słuszne i podzielamy je całkowicie. Dyskusja należałoby objąć sposób napisania tego artykułu. I dlatego bardzo prosimy o odwiedzenie nas, przy okazji, w redakcji „Dziś i Jutro".

P. Kazimiera Ber., Poznań. Decyzję o ewent. współpracy możemy powziąć dopiero po otrzymaniu prac Pani.

Redaguje: Kolegium redakcyjne. Redaktor naczelny: Witold Bieńkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.
Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Konto P. K. O. — Nr I—727 Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.
Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.
Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.
Złożono w Zakł. Graf. „Dźwignia" Widok B-04755 Odbito w Drukarni „Czytelnik" Nr. 2, Marszałkowska 3-5.